



*Tworzą Marysi  
Komorniczka*

# BAJECZKI

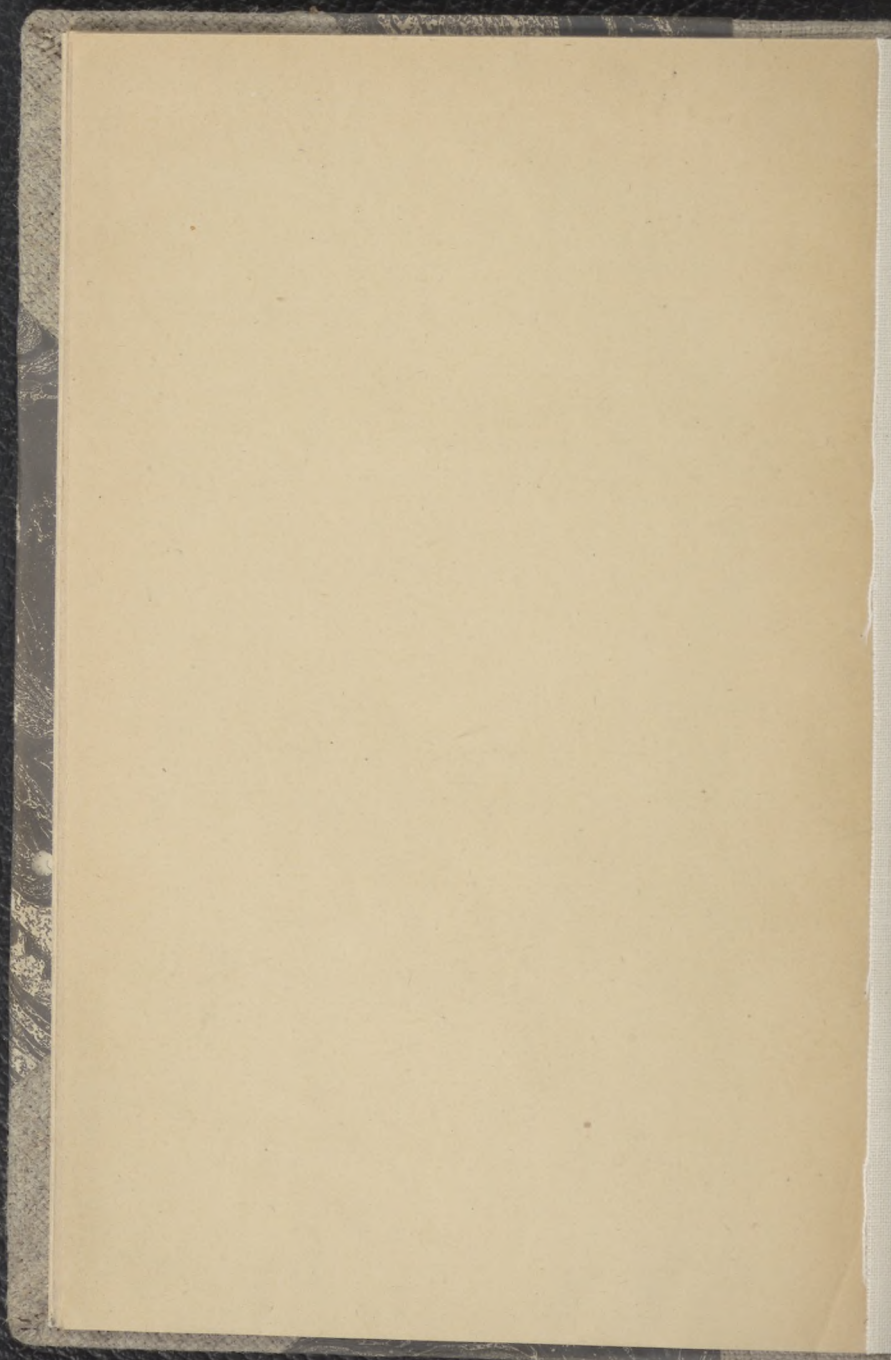
## PRAWDZIWE



OPowiedziaŁA

**M. J. ZALESKA.**

WARSZAWA, Gebethner i Wolff.





Od ukochanej matki  
nowopromiętke dla Tłusty

Marya  
Homorowsko  
Ywona

BAJECZKI PRAWDZIWE

THE UNIVERSITY OF CHICAGO  
LIBRARY







Teraz podobny jesteś do baranka...



M. J. ZALESKA



# BAJECZKI PRAWDZIWE

PODŁUG ZUZANNY KORNAZ  
PRZEŁOŻONEJ OGRÓDKA DZIECINNEGO W GENEWIE

WYDANIE PIĄTE

Z 6 OBRAZKAMI KOLOROWANYMI RYSUNKU ILINICZA



WARSZAWA  
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1909



I 1.467.711



---

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

1990 D 319/212



## OBŁOCZEK.

---

Obłoczku mój ty malutki! śliczny obłoczku biały! powiedzno, dokąd ty tak spieszysz? Płyniesz i płyniesz po błękiecie, uciekasz ode mnie... Poczekaj troszkę, obłoczku mały. Jak ty dziwnie wyglądasz i zmieniasz się co chwila. O! teraz taki jesteś ładniutki, zupełnie jak baranek z podniesioną główką.

Tak mówiła dziewczynka, patrząc przez okno na obłoczek. A obłoczek jej odpowiedział:

— Nie mogę się zatrzymać, bo mnie wiatr porwał i unosi ze sobą.

A dziewczynka mówiła:

— Wietrzyku, mój wietrzyku, nie dmuchaj tak mocno, odpocznij sobie troszkę i pozwól obłoczkowi się zatrzymać.

— Jabym chętnie odpoczął — odpowiedział wiatr — bo bardzo jestem zmęczony, już dziś napracowałem się niemało. Musiałem przenosić i rozsiewać nasionka sosen i różnych innych roślin, dmuchałem w skrzydła wiatraków, co mączkę miałą, wysuszyłem dużo upranej bielizny, rozwieszonoj na płotach. Teraz wypłynąłem z lasu, zdyszany cały, i zobaczyłem ten biały obłoczek. On sam się musi nudzić, pomyślałem, i uniosłem go ze sobą, a teraz płyniemy razem.

— I gdzież ty go niesiesz, mój wietrzyku? — pytała dziewczynka, a wiatr odpowiedział:

— Czy widzisz tam daleko, gdzie słońce zachodzi, te śliczne obłoczki różowe? To



są jego towarzysze, oni czekają na niego. Poniosę go aż do nich, a potem sobie odpocznę.

Słyszysz to obłoczek i mówi:

— Dziękuję, dziękuję, grzeczny wietrzyku, cobym ja tu robił sam jeden, gdybyś mnie nie był zabrał ze sobą!

— Co ty robisz wietrze! — wołała dziewczynka — już niema baranka, rozwiałeś mi główkę i nóżki; o, jaka szkoda! Ale obłoczek zawsze ładniutki; teraz tak wygląda, jak ogromna kula śniegowa.

Wiatr dmucha coraz mocniej: wu-wu-wu-wu!

— A teraz jeszcze ładniejszy! — woła dziewczynka, klaszcząc w rączki. — Rozpłynął się pośrodku, po brzegach się wystrzepił, wygląda, jakby jakiś duży wianek z białych kwiatów.

Wianek zwał się z jednej strony, potem się rozerwał, obłoczek się wydłużył, nakształt dużej ryby białej.

— Spieszmy, śpieszmy — mówił wiatr — musimy tam dopłynąć przed nocą.

— Bywaj zdrów, wietrzyku, bywaj zdrów, obłoczku! — wołała dziewczynka, jak mogła najgłośniejsz; bo już obłoczek był bardzo daleko.

— Do widzenia — odpowiedzieli wędrowcy i szybko odpłynęli.

Dziewczynka patrzyła długo jeszcze za obłoczkiem i widziała, jak przyplłynął do tych innych, co na niego czekały, i zaraz mienił się tak samo, jak one. Potem słońce ukryło się za wzgórzem, ściemniło się na dworze, Marynia zamknęła okno i spać się położyła.

— A ja nie wiedziałam o tem — myślała sobie, leżąc w łóżeczku — że wiatr tak musi pracować. Ja dziś taka byłam leniwa, tylko trzy druty zrobiłam w pończoszce. Żebym ja mogła wiedzieć, co ten różowy obłoczek tam robi? Czy on tak ciągle wędruje, od



rana do nocy? Ej, chyba nie, bo mama mówiła, że wszyscy na tym świecie powinni coś robić. Musi to być bardzo przyjemnie tak pływać po błękitnem niebie, dogonić słońce na zachodzie. Ach! wolałabym być małym obłoczkiem, niż ślęczyć nad tą pończochą...

I myśląc o wietrze, co tak pracuje i o obłoczku różowym, który także musi mieć jakąś robotę, dziewczynka nasza usnęła.

Już rano, Marynia przebudziła się i wstała z łóżeczka. Poszła do okna zobaczyć, czy ładna pogoda. O, nie, dziś już nie widać błękitnego nieba, przykryte całe szaremi chmurami, które wiatr coraz dalej unosi. Duże krople deszczu zaczynają padać, biją w okna z głuchym łoskotem. Jakaś dziewczynka idzie ulicą bez parasola, o, jak zmoła! Jedzie ktoś wózkiem odkrytym: i pan i woźnica nasunęli kaptury na głowy, koniki łby pospuszczały; one pewnie nie lubią moknąć na deszczu.

— Ale otóż deszczyk ustaje — mówi Marynia — przydał się bardzo w ogródku, podlał dobrze moje kwiateczki. Trzeba pójść zobaczyć, czy bratki popodnosiły główki.

— Dzień dobry! dzień dobry! dzień dobry! — odzywają się z różnych stron głosiki cieniutkie.

— A to kto mnie woła? — pyta Marynia, oglądając się dokoła.

— My, my, my! — wołają kropelki wody, błyszczące na kwiatkach, na listeczkach — to my byłyśmy w tym białym obłoczku, co wczoraj płynął po niebie. Wiatr dmuchał przez całą noc, nagromadził dużo chmurek, rozsunał je po całym niebie i widzisz, podlałyśmy ci ogródek.

— Oho! wiedziałam ja dobrze, że obłoczek ma jakąś robotę — rzekła dziewczynka — jakież on grzeczny, że przyszedł podlać mój ogródek.

A w tej chwili wiatr dmuchnął tak mo-



cno, że wszystkie kropelki wody pospadały z listeczków i kwiatów na ziemię. Jedna tylko została na różyczce. Marynia tę różyczkę zerwała, zaniosiła mamie i opowiedziała jej o białym obłoczku.

---

## MUSZKA.

---

— Ratujcie! ratujcie! tonę!

Tak wołała biedna mucha, trzepocząc się w garnuszku pełnym mleka.

— Czyż żadna się nademną nie zlituje? Tyle was tam siedzi przy cukiernicy, tyle spaceruje po suficie, niechże która łapkę do mnie wyciągnie, bo zginę!

Ale muszki nic nie słyszą. Tyle jest dobrych rzeczy na stole: masło, cukier, konfitury, trzeba wszystkiego pokosztować, za nim sprzątną te pożądane przysmaki.



Tymczasem mała dziewczynka, nie wiedząc o niczem, zbliża się przypadkiem do garnuszka z mlekiem i muszkę spostrzega.

— Biedaczka! — mówi z politowaniem — w samą porę nadeszłam, byłaby utonęła za chwilkę. Jakto można być taką nieroztropną.

I wyjęła ostrożnie muszkę z mleka, położyła ją na oknie i odeszła.

— Cóż to za nieprzyjemne wydarzenie — mówi muszka, wzdychając ciężko i poruszając się z trudnością. — Nie mogę skrzydełek rozwinąć, tak mi to mleko zawadza, sama nie wiem, jakby się pozbyć tego ciężaru. Żeby to która z moich towarzyszek nadleciała, mogłaby nądpić troszkę tego mleka swoją trąbką, miałyby śniadanie, a mnieby wyrządziła ogromną przysługę.

Wtem ozwało się w pobliżu:

— Zum, zum, zum.

— Osa leci! — zawołała muszka. — Moja pani oso, bądź łaskawa, zrób mi tę małą

przysługę i zabierz sobie trochę mleka z moich skrzydełek, bo się ruszyć nie mogę.

— Nie mam czasu — odrzekła osa — chętniebym ci tę drobną usługę zrobiła innego dnia, ale dziś mam mnóstwo zajęcia. Dwanaścioro dzieci wykluło się w mojem gnieździe, a drobiazg ten jest taki zgłodniały, że nieustannie jeść woła. Muszę śpieszyć, nie mam chwili do stracenia, a ty, kochanko, nic nie robisz, to jakoś pomaleńku sobie i sama poradzisz. Do widzenia!

I osa odleciała brzęcząc, skrzyżowawszy tylko nóżki.

— Jaka niegrzeczna! — pomyślała muszka. — Ale oto pszczoła leci; mówią, że pszczoły są daleko lepiej wychowane od innych owadów... Pani pszczoło, bądź tak dobra, wstąp tu do mnie na chwileczkę. Oho! nawet się nie odwróciła. Jaka mi pyszna! Pewnie dlatego, że ma aż cztery skrzydełka, nie chce patrzeć na biedną muszkę, która



ma ich tylko dwa. Nie wyobrażaj sobie, jejmościanko, żeś coś lepszego odemnie; masz przecież sześć łapek, tak samo, jak wszystkie owady, ni mniej ni więcej. Nie bądź taka harda.

Znowu słyhać: Zum, zum, zum.

Leci duża mucha ciemno-błękitna, zbliża się do okna, wygląda jakoś zakłopotana.

— Kochana kuzynko — woła nasza muszka — pomóż mi pozbyć się tego mleka, strasznie mi zawadza.

— A toś się ładnie oporządziła — mówi błękitna mucha — jak można być taką roztrzepaną, żeby wpaść w mleko! Żal mi ciebie serdecznie, ale dopomódz ci nie mogę, co innego mam na głowie. Potrzebuję złożyć jajka, a tu nigdzie nie mogę znaleźć ani kawałka mięsa. Byłam już dziś w pięciu kuchniach, wszędzie mięso pochowane tak starannie, że niepodobna się do niego dobrać.

— Surowego nie znajdziesz i u nas —  
rzecze muszka domowa — widziałam właś-  
nie, jak kucharka wszystko włożyła w gar-  
nek.

— No, to bywaj zdrowa. Muszę szukać  
dalej, bo mi pilno — i mówiąc to, błękitna  
mucha odleciała śpiesznie przez okno.

— Niema co, trzeba sobie jakoś samej  
radzić — powiada biedna muszka, potrzą-  
sając skrzydełkami i wyciągając łapki. Więc  
najprzód przednimi łapkami strzepnęła mle-  
ko z gorsecika i z główki, potem tylnymi  
obtarła o ile mogła skrzydełka i brzusek.  
Najtrudniej poszło z grzbietem, ale jakoś  
w końcu poradziła sobie i ochędożyła się  
od stóp do głowy, rozwinęła skrzydełka,  
osuszyła je trochę na słońcu i pofrunęła  
lekko w powietrze.

— Jak też to trudno biednej muszce  
wyżyć na tym świecie! — mówiła sama do  
siebie. — Gdy wśród dnia wzlecę w po-



wietrze, wszędzie czychają na mnie jaskółki i inne ptaszki, w nocy znów nietoperze mi grożą; chcę się napić czego, łatwo mogę utonąć... Nigdzie nie jestem bezpieczną. Biedna moja dola!

Tak rozmyślając, usiadła na grzbiecie konia. Tu napotkała inną muchę, bardzo uprzejmą, zaraz też zaczęła przed nią skargi swoje roztaczać.

— Czy to ty jedna masz takie kłopoty — odrzekła tamta — nie mało ja także już przeszłam w życiu. Raz naprzykład złożyłam jajka na pysznej kupce nawozu: wiedziałam, że dziatwa będzie tam miała najzdrowsze pożywienie. I wykluły się szczęśliwie moje kochane liszki białe, byłyby dziś z nich śliczne muszki... — tu wzruszenie mowę jej przerwało.

— I cóż się z niemi stało? — pytała tamta.

— Niestety! — odrzekła strapiona ma-



teczka — przyszedł kogut z dwiema kurami i niegodziwe ptaki pożarły biedną moją dziatwę.

— Co za nieszczęście! — mówiła pierwsza mucha. — Ale dobrze, że wiem o tem, bo ja miałam właśnie zamiar złożyć jajka na takiej kupce nawozu. Teraz jednak muszę poszukać jakiej pewniejszej kryjówki.

W tej chwili koń podniósł ogon i tak silnie trzepnął nim po grzbiecie, że obie muchy zrzucił jednym zamachem na ziemię.

Znajoma nasza muszka w pierwszej chwili straciła zupełnie przytomność; gdy przyszła do siebie, obejrzała się za swoją towarzyszką, ale tamta nieboraczka zginęła na miejscu.

Ocalona dziś po raz drugi, muszka westchnęła nad smutnym losem swojej towarzyszki i z trudnością dowlokła się do płotu, bo i ona nie wyszła bez szwanku z tej strasznej przygody.



Potłuczona była i zgnieciona, ale nie skałeczona, i odpocząwszy przez chwil kilka, rozwinęła skrzydełka i pofrunęła dalej.

Przybyła wkrótce do kuchni i usiadła na rękojeści patelni, którą kucharka niedawno zdjęła z ognia. Patrząc w ciemną otchłań tego naczynia, muszka zadumała się smutnie. Liczna gromadka much obsiadła patelnię, czekając aż ostygnie, ażeby się uraczyć maśłem i kawałeczkiem smażonego jabłka, które do dna przyłgnęło. Wszystkie muchy brzęczały z wielkiem ożywieniem, były nadzwyczaj wzburzone.

— Co się stało? — zapytała nowoprzybyła.

-- Jakto, nie słyszałaś jeszcze? — odzwała jedna duża mucha. — Okropne rzeczy dzieją się w tym domu! Pani położyła na stole talerzyk z ciecżą słodką, w której moknie kawałek szarego papieru. Mnóstwo much zleciało się do tego przysmaku, ale wszystkie prawie, skosztowawszy cieczy, zgi-

nęły nagłą śmiercią; niektóre ocalały, ale dostały strasznych boleści w żołądku. Przekonana jestem, że to jakaś zdrada. Ludzie nas oskarżają, że im dokuczamy i wszędzie nosa wścibiamy, niezawodnie więc chcą nas wytruć. Co za niesprawiedliwość! My przecież nikomu nie wyrządzamy żadnej krzywdy i tak mało jemy. Ludzie są nielitościwi.

— Moja ciociu — powiedziała inna młoda mucha — trzeba jednak wyznać, że my czasem im naprawdę dokuczamy. Wczoraj na przykład, gdy gospodarz tego domu zasnął po obiedzie, ciocia, nie wiem poco, ciągle przechadzała się po jego nosie. Opędzał się raz po raz, ale nadaremnie; nie mógł się cioci pozbyć żadnym sposobem, więc zerwał się zniecierpliwiony... Nie śmiem nawet powtórzyć tego, co mówił, ale wyraził się o nas bardzo ostro, bardzo niedelikatnie i zaraz też nazajutrz pojawił się ten talerz na stole.



— Niema co, trzeba nam się wynosić stąd jak najprędzej — rzekła duża mucha.

— A ja mówię, że nie — mówiła młoda muszka — bardzo nam tu dobrze, pełno jest wszędzie przysmaków, a co się tyczy tego talerza, od czegoż rozum?... Mamy co jeść, możemy się trzymać zdaleka od tej zdradzieckiej cieczy i ostrzegać nowoprzybyłe muchy, żeby się miały na ostrożności.

— Dobrze mówi — zawtórowały wszystkie inne muchy i całe towarzystwo obsiadło jabłko smażone, które zupełnie przez ten czas ostygło.

Nasza mucha postanowiła także pozostać w tym domu. Podobała jej się bardzo roztropna młoda muszka i tak się z nią zaprzyjaźniła, że od tej pory ciągle się razem trzymały.

— Posłuchaj-no, kochanko — rzekła dnia jednego starsza przyjaciółka do młodszej. — Czuję, że wkrótce zniosę jajka, nie znasz ty

tu w pobliżu jakiej spokojnej kryjówki, gdziebym je bezpiecznie złożyć mogła?

— I owszem, wskażę ci bardzo dobre miejsce — odpowiedziała młoda muszka — miejsce, z którego ja sama wyszłam niedawno.

— Jakże ci jestem wdzięczna — rzekła tamba i obie, nie zwlekając, pofrunęły do poblizkiej stajni.

— Widzisz ten nawóz, tam w kąciuku, pod temi deskami? — mówiła młoda muszka — to tu właśnie moja mateczka złożyła jajka i mnóstwo much codziennie tu w tym celu przylatuje, bo ta kryjówka jest bardzo wygodna i bezpieczna.

Patrz, patrz, co tu liszek! jakie żwawe, jak się kręca. O, ta gruba, niezadługo już się zamieni w muszkę, taką ma twardą, ciemną skórkę, wygląda, jak to ze mną było. Byłam takąż samą liszką, żwawą i zdrową, aż tu naraz straciłam apetyt, uczułam, że



skórka na mnie drętwieje, i wkońcu sen mię zaczął morzyć.

Nim usnęłam, zagrzebałam się w ziemię, żeby mi tam było spokojniej, a gdy się przebudziłam, miałam jeszcze na sobie tę ciemną skórkę. Zaczęłam ją rozpychać z całej siły i wysunęłam się z niej głową naprzód. Nie byłam już lizką, tylko skrzydlatą muszką. Ale dość już się nagadałam, nie będę ci przeszkadzała, a jak się załatwisz z jajkami, powracaj do kuchni, ja tam będę na ciebie czekała na półce, po prawej stronie. Do widzenia.

Starsza muszka zniosła swoje jajka, było ich z pięćdziesiąt, a potem pofrunęła do kuchni, gdzie na wskazanem miejscu towarzyszka na nią czekała. Obie podobno dotąd tam jeszcze mieszkają i zawsze są w wielkiej przyjaźni.

## WISIENKĄ.

---

Piękna, rozłożysta wiśnia jest moją matczką.

Pewną jestem, że w całym sadzie niema wspanialszego drzewa.

Z grubego pnia wychodzą trzy duże konary i wznoszą się ku niebu; wyrasta z nich mnóstwo mniejszych gałęzi, pokrytych zielonemi listeczkami; na gałązkach siadają ptaszki i ślicznie świegocą.

Ja jestem córeczką tej pięknej wiśni, wisienką malutką i siedzę na najwyższej gałązce. Nie jestem jeszcze zupełnie dojrzała



jeden policzek mam rumiany, a drugi zupełnie biały.

Chciałabym już jak najprędzej być ładną i różową, przez cały dzień patrzę na słońce, bo domyślam się, że to ono mi daje tę śliczną barwę purpurową. Ale duży liść, mój sąsiad, zasłania mi słońce z jednej strony, i promienie nie mogą się dostać do prawego mego policzka. Nie mam ja o to żalu do tego listeczka, zdaje mi się jednak, że mógłby być grzeczniejszy dla mnie i usunąć się troszeczkę na bok. Prosiłam go o to kilka razy, ale powiada, że żadnym sposobem nie może się inaczej obrócić, bo mu tak najwygodniej.

Nie wiem, czy jest na świecie lepsza mateczka od mojej. Jak ona troskliwie pielęgnowała wszystkie swoje córeczki!

Pierwsze dni mego życia spędziłam w cudnej kolebeczce. Żadna dziecina, żadna ptaszyna nie może mieć piękniejszej.

Pościółka w niej była biała, cieniuteńka, mięciuteńka, kołderka blado-zielona. Ta śliczna kolebeczka, to był kwiat wiśniowy. Byłam wówczas jeszcze bardzo malutka, mniejsza niż główka od szpilki, a taka wątła, że najłżejszy wietrzyk mi szkodził. Mateczka wiedziała dobrze, jakie to noce na wiosnę są chłodne i każdą córeczkę ułożyła w takim kwiateczku i otuliła starannie. Cóż to za miłutka była kolebeczka! nigdy nie zapomnę, jak mi tam było wygodnie. Teraz jej niema, opadła, ale ja się już mogę obejść bez niej, bo jestem duża i silna.

Bardzobym chciała wyjść na ładną i smaczną wisienkę, bo obiecałam znajomemu wróbelkowi, że mu pozwolę podziobać się troszeczkę, jak dojrzeję. Ten wróbelek wielką mi przysługę wyświadczył tej wiosny. Żeby nie on, byłabym pewnie zachorowała, a może i zginęła. Straszny robak



byłby mi wygryzł serce. Takie nieszczęście przytrafiło się niejednej mojej siostrzyczce.

Było to raniutko: przebudziłam się i spostrzegłam jakąś główkę wspartą na brzegu mojej kolebeczki. Przeleżałam się niezmiernie, a cóż dopiero, gdy straszny zwierz wpakował się cały do mojej pościółki.

Była to liszka! Byłaby mnie pożarła niezawodnie. Błagałam jej, żeby sobie poszła, ale nie chciała mnie słuchać; musiała być bardzo głodna. Aż tu niespodziewanie wróbelek usiadł na mojej gałązce.

— O, proszę mój dobry wróbelku — powiedziałam do niego — ratuj mnie, zabierz tę liszkę, bo zginę.

— Z największą chęcią — odrzekł uprzejmie i pochwycił ją zręcznie w dziobek — właśnie szukałem liszki na śniadanie dla mojej dziatwy.

Grzeczny ten wróbelek codziennie od tej pory przylatywał do mnie w odwiedziny.

Jak tylko jaka liszka chciała mnie ukąsić, on ją zaraz chwycił i pożerał. Bardzo go za to pokochałam i chciałam mu się czemś odwdziżyć.

— Czy lubisz wisienki, mój miły wróbelku? — zapytałam.

— O, bardzo lubię — odpowiedział.

— Kiedy tak — rzekłam wówczas — to przylećże do mnie, jak będę zupełnie dojrzała; uratowałeś mi życie, nigdy tego nie zapomnę i chcę, żebyś mnie troszkę podziobał, jak będę już rumiana i smaczna.

Wróbelek ucieszył się bardzo i ślicznie mi podziękował.

Ach, gdyby nie ten nieznośny listek, myślałam sobie, jużbym pewnie była prześliczna, rumiana. Nic mu jednak nie mówiłam, bo czegoś pobladł bardzo, musiał być chory. Pewnego rana przebudziłam się i uczułam, że mi cieplej daleko, niż zwykle, spojrzalam dokoła, nie było już przy mnie tego



liścia, co mi promienie słoneczne zasłaniał; zwiądlł zupełnie w nocy i opadł. Litowałam się nad biednym listeczkiem, ale go żałować nie mogłam, bo mi bardzo zawadzał za życia.

Zapomniałam opowiedzieć o korzeniach mojej mateczki. Ma ona ich mnóstwo, jedne są duże, grube, a inne cieniuteńkie, malutkie. Dziwnie to musi wyglądać, ale ja tego nigdy nie zobaczę, bo wszystkie te korzenie ukryte są pod ziemią. Zdaje mi się, że mateczka żywi się tymi korzeniami.

Nic wiem na pewno, co ona ma tam do jedzenia pod ziemią, powiadają, że pije wodę deszczową, a w tej wodzie rozpuszczają się różne minerały, które grunt w sobie zawiera. Ale musi tam mateczka znajdować pokarm obfity, bo jakżeby inaczej żyć mogła? Tej wiosny pewnie sobie porządnie podjadała, skoro w przeciągu jednego tygodnia pokryła się cała liśćmi i kwia-

tami. Prawda, że za to całą zimę wypo-  
czywała.

Minęło dwa tygodnie od rozmowy mo-  
jej z wróbelkiem, przez ten czas zarumieni-  
łam się ślicznie i wszystkie moje siostrzyczki  
dojrzały także. Przyszedł ogrodnik, przy-  
stawił dużą drabinę do wiśni, mojej ma-  
teczki i zaczął zrywać wisienki. Napelnił  
niemi dwa duże kosze, a niektóre brał do  
ust i połykał. Patrzałam na to z przeraże-  
niem i ubolewałam nad smutnym losem mo-  
ich siostrzyczek.

O siebie jednak byłam spokojna, siedzia-  
łam tak wysoko na malutkiej gałązce, że  
chyba ptaszek mógł mnie tam dojrzeć. Nie  
żałowałam wcale obietnicy danej wróbel-  
kowi, szczerze postanowiłam jej dotrzymać,  
ale miałam wielką ochotę do życia, dzień  
i noc myślałam o tem, jakby się od śmierci  
uchronić.

— Mój drogi przyjacielu — rzekłam raz



do wróbelka — czuję, że już jestem zupełnie dojrzała i jeśli masz ochotę mnie zjeść, to się nie będę broniła, ani wymawiała. Ale mam do ciebie, wróbelku, wielką prośbę. Smutnoby mi było zginąć i nic po sobie nie zostawić. Ty z pewnością nie będziesz jadł twardej mojej pestki, a ja wiem, że ona ma w sobie coś takiego, co odżyć może. Proszę cię, weź tę pestkę i posadź ją tu w ogrodzie.

— Z największą chęcią — odrzekł wróbelek — nie posadzę jej na trawniku, bo kosiarze mogliby ściąć młodziutką latorośl razem z trawką, ale jest tu wyborny kącik pod samym płotem, tam twojej pestce będzie bardzo wygodnie i bezpiecznie.

— O, dobrze, dobrze!

I mała wisienka podała rumiane swoje policzki wróbelkowi, on je spożył z wielkim smakiem, potem wziął pestkę w dzióbek i zasadził ją pod płotem. Roślina zamknięta

*Ro*

w pestce, czeka cierpliwie, aż ją deszczyk i słońce wydobędzie z pod ziemi; wróbelek codziennie tam przylata i skacze pod płótem, wygląda zapewne przyjscia na świat młodziutkiej wisienki.

---



W

## KURY I KACZKI.

---

Już świta; pierwsze promienie słońca wpadają przez małe okienko do kurnika. Kury śpią jeszcze na grzędach, i tak zabawnie wyglądają z jedną nóżką podgiętą, z główką schowaną pod skrzydło. Ale kogut już się przebudził, potrząsa prawą łapką, ogląda się dokoła — cicho wszędzie, spokojnie.

— O! jakże ja dziś zasnę! — woła — słońce już wschodzi, ku-ku-ri-ku!

Na ten odgłos kury wszystkie wysuwają główki z pod skrzydeł, trzepocą się, gdaczą, rozmawiają.

— O, moja droga — mówi jedna do drugiej — jaki dziś miałam sen prześliczny!

— Wyobraź sobie, takie niezmierne mnóstwo ziarenek spadło z nieba, że całe podwórko było niemi pokryte na cal grubości. Chwytałam je całym dziobem, a tu sypało się i sypało bezustanku.

— A mnie — rzekła druga — śniło się, żem znalazła robaka tak dużego, tak długiego, przynajmniej jak ta drabina. Chciałam go pochwycić, ale znikł nagle, a ja się przebudziłam.

— To doprawdy bardzo ładne sny — powiedziała młoda kureczka, która słuchała z zajęciem tej rozmowy — mój nie był tak przyjemny. Chwała Bogu, że to tylko sen. Wyobraźcie sobie, że czułam się na rożnie, a kucharka polewała mnie masłem i obracała pomaleńku. Brr! aż mnie dreszcz przejmuje!

— Na rożnie! — zawołały kury — skądże



ci znów takie straszne myśli przychodzą do głowy? Bądź spokojna, teraz właśnie jajka znosisz, nie pójdziesz na rożen.

— Ba! kto to może wiedzieć. Ten sen zepsuł mi humor na cały dzień.

— Któż widział na sny zważać? — odezwała się stara kokosz. — Mnie się śniło kiedyś, że m zniosła czerwone jajko i wyszło z niego kociątko — a jednak ten sen nigdy się nie sprawdził.

W tej chwili otworzyły się drzwiczki od kurnika i wszystkie kureczki wybiegły hurmem na podwórko.

— Słuchajcie-no — jejmościanki — zawołał kogut — mam z wami do pomówienia, pięknych rzeczy się o was dowiaduję. Czy to rozsądne kury tak robią? Powiadają, żeście się wczoraj uganiały po wiejskich ogrodach, żeście skubały sałatę i objadały porzeczki. Gospodynie upędzaly się za wami i przezywały was bardzo brzydko. Wstydz-

cie się! czy to tak powinny postępować dobrze wychowane kury? Macie tu dosyć pośladu i nie potrzebujecie rabować ogrodów. Proszę bardzo nigdzie nie odchodzić, tylko po podwórzu się przechadzać.

Opowiadano mi także, żeście się wieczorem pobily o te chrząszcze, które Czubatka znalazła pod bzami. Czy nie mogłyście się zgodnie podzielić? Ale wy zaraz musicie takie nieprzyzwoite kłótnie wszczynać. Jeszcze to nie koniec. Gdzie to Krasnopiórka złożyła wczoraj jajko? W stodole, na sianie, nieprawdaż? A czy nie mówiłem sto razy, że jajka trzeba znosić tu, w kurniku?

— Kiedy gospodyni mi je zaraz stąd zabiera — odrzekła Krasnopiórka.

— Nic dziwnego — mówił kogut — jeszcześ za młoda na kwoczkę, nie miałabyś cierpliwości siedzieć trzy tygodnie na jajach. A która to z was zniosła w tych dniach takie miękkie jajeczko, jakby bez skorupki?



To jest niedbalstwo; trzeba zawsze pamiętać i przetykać razem z jedzeniem trochę piasku i żwiru, bo to z tego się robi twarda w jajkach skorupka.

W tej chwili jedna kurka zniosła jajko i głośno zwiastowała tę nowinę towarzyszkom, wołając:

— Ko-ko-ko!

Wszystkie kurki jej zawtórowały wesołym gdakaniem, nawet kogut zaśpiewał: ku-ku-ri-ku! i cała gromadka rozpierzchła się po podwórzu. Parę starszych kur pobiegło do obórki, znalazło tam kupkę gnoju, w której było mnóstwo małych liszek białych. Za kilka dni miały z nich wylecieć muszki — ale nic już z tego nie będzie, bo kury zjadły wszystkie liszki na śniadanie.

Młodsze kureczki poszły za kogutem; on im wygrzebał z ziemi kilka glist różowych, bardzo smacznych i wybornie sobie podjadły. Nadeszła wkrótce i gospodyni; na głos jej,

dobrze znany, zbiegły się wszystkie kurki i zagdakały radośnie, chwytając ziarna, które im gospodyni posypała. Kogut przyszedł ostatni, obejrzał się dokoła, czy są wszystkie kury, a gdy je policzył, zaczął i sam ziarnka zajadać.

Gdy już wszystko wybierały do ostatniego ziarnka, kurki poszły wraz z kogutem powiedzieć dzień dobry pocziwemu pieskowi Burkowi, który nocował w budzie i pilnował całego gospodarstwa. Kurki żyły z nim w wielkiej przyjaźni.

— Cóż tam słyhać nowego, Burku? — zapytała Czubatka, dziobiąc okruszyny jedzenia w misce psa.

— Ważna wiadomość, moje panie — powiedział Burek — podsłuchałem tajemnicę; gospodyni mówiła w mojej obecności...

— Co, co mówiła? — gdakały wszystkie kury.

— Nie przerywajcież, jeżeli chcecie się



dowiedzieć — mówił Burek. — Gospodyni powiedziała, że kupiła parę... parę jakichś ptaków, zapomniałem, jak je nazwała. Ale wspomniała o piórach, więc muszą być do was podobne. Dziś jeszcze tu przybędą.

— Tu razem z nami mają mieszkać? — zakrzyknęła Czubatka -- a to nowa rzecz! i tak niewiele mamy ziarna, jeszcze jakieś tam ptactwo będzie nam i to zjadało. Robaków w tym roku bardzo mało; taka posucha, że wszystkie wyginęły; i co my tu poczniemy z tymi natrętami? Ja im tak dokuczę, że sobie prędko stąd uciekną.

— Bardzo proszę — odezwała się stara kura — jak to można tak mało mieć uprzejmości! Ja bardzo będę rada tym gościom, pewnie nam coś nowego opowiedzą, a ja przepadam za nowinkami. Takie tu u nas nudy teraz, będzie przecież jakaś rozrywka.

— Ciekawam jak te ptaki wyglądają? — zagadała młoda kokoszka — czy ładne

mają piórka, czy czubate? Już to z pewnością nie ładniejsze są odemnie; ciocia mówiła, że w życiu nigdy nie widziała takiej prześlicznej kureczki, jak ja, a ciocia zna się na tem i mówiła jeszcze...

— Cicho, cicho, gadulka — przerwał kogut — wszystkieście jednakowe, próżne, gadatliwe i plotkarki. Pewny jestem, że te nowe ptaki będą daleko rozsądniejsze i lepiej wychowane od was.

Mówiąc to, kogut nastroszył grzebień i poważnie kroczył na łąkę, a kurki szły za nim, gdakając ciągle zawzięcie. Znalazły jeszcze parę robaków na łączce, potem poprzysiadaly pod drzewami i tam spędziły parę godzin, wypoczywając i drzemając potrosze. Wtem ukazała się dziewczka z koszem przykrytym w ręku i szła prosto na dziedziniec folwarczny.

— Patrzcie! patrzcie! — to pewnie te nowe ptaki — zawołała Krasnopiórka i pędem





„Niczego są te ptaki,” rzekła Czubatka, „szczególniej  
kaczor bardzo przystojny”

BIBLIOTEKA  
BN  
NARODOWA



pobiegła za dziewczką; wszystkie kury pomknęły za nią. Dziewka tymczasem wyjęła z kosza parę pięknych kaczek i puściła je na podwórze.

— Niczego są te ptaki — rzekła Czubatka — szczególnie kaczor bardzo przystojny. Jakie ma ładne zielone piórka na głowie, tak się mienia i błyszczą na słońcu.

— Ale kaczka za to nieosobliwie wygląda — rzekła inna kura — wcale nie jest ładniejsza od nas, piórka ma takie sobie zwyczajne, szare i brunatne, do czego to podobne!

— Patrzcie, patrzcie! jak one chodzą, te kaczki! — wołało kilka kur.

Kaczki nieprzyzwyczajone zapewne do tak liczego towarzystwa, nieśmiało spoglądały dokoła i chciały się oddalić od tych ciekawych kur, ale zaledwie uszły kilka kroków, gdy śmiech szalony wybuchnął pomiędzy kurami.

— Czy widziałyście kiedy takie powykręcane nogi? — wołała Krasnopiórka.

— Przypatrzcie się, jak te nogi dziwacznie są obsadzone — mówiła Czubatka — nie po środku ciała, ale zupełnie gdzieś w tyle. Dlatego to one chodzić dobrze nie mogą.

— Ach, co to za nogi! — krzyczała inna kureczka młodziutka — przypatrzno się, mateczko, skóra pomiędzy palcami.

— Co też ty pleciesz! — odrzekła matka.

— Ale naprawdę, mam, ja mam dobre oczy, widzę doskonale; wszystkie palce są proste skórą.

— To zabawne! — mówiła matka — do czego to mogą służyć, takie dziwne palce? Ciekawa rzecz, jak one mogą niemi grzebać ziemię? a czy widział kto takie płaskie dzioby? zupełnie tak wyglądają, jakby kto złożył dwie łyżeczki. Jabym nie potrafiła ani jednego ziarna pochwycić takim niezgrabnym dziobem.



Kaczki nie rozumiały dobrze tych wszystkich żarcików, bo jeszcze nie przywykły do mowy kur, przeszły całe podwórko, kołyszając się po swoim, zbliżyły się do sadzawki i wskoczyły do wody. Kury szły ciągle za nimi, a na ten widok zaczęły gdakać przerażliwie, bo się zlekły o kaczki. Żadna kura nie miałaby odwagi zamoczyć nawet łapek w wodzie.

— Stójcie! stójcie! — wołał kogut, który chciał już wziąć nowoprzybyłą parę w swoją opiekę — to woda, w wodzie utonąć można!

Kaczki nie zważały wcale na te wołania i płynęły do małej wysepki, leżącej w samym środku sadzawki. Kury stały wszystkie na brzegu, wyciągały szyjki i nie spuszczały z oczu pływających ptaków.

— Szczególna rzecz — rzekła nakoniec Czubatka — ktoby się spodziewał, że one potrafią utrzymać się na wodzie. Ale w ciągłym jestem strachu, bo to nie może długo

potrwać, zobaczycie, że źle będzie z nimi. A co! nie mówiłam? Kaczor płynie dobrze, ale kaczką zanurza głowę, już do połowy jest w wodzie, tonie! ratujcie! biedna kaczką tonie!

Kaczką tymczasem najspokojniej wynurzyła się z wody, trzymając w dziobie długie źdźbła wodnych roślin, które sama jadła i podała kaczorowi. Czubatka była zdumiona.

— Coś jedzą! to musi być jakaś wyborna potrawa. Żeby mi dały pokosztować! Teraz już rozumiem, do czego im służy ta skóra pomiędzy palcami: do pływania niezawodnie, a ja nie mogę się utrzymać na wodzie, bo takich nóg nie mam. Patrzcie, patrzcie, już dopłynęły do wysepki i wylądowały. Szczęśliwe te kaczki! poszły sobie do budki. Co tam może być w tej budce, co stoi na wysepce? pewnie jakieś przysmaki, a my się tam dostać nie możemy.

Kaczki posiedziały trochę w budce, za-



pewne umyślnie dla nich zbudowanej na wysepce, potem znowu zaczęły pływać po sadzawce, chwyciły w wodzie małe żabki i wyciągały wodorosty, nakoniec pod wieczór zbliżyły się do brzegu. Kury patrzyły na nie ciągle ciekawie, a kogut powiedział:

— Rad jestem, że wam się nic złego nie stało; ale wychodźcie już z wody, bo możecie się zaziębić i dostać kataru.

— Niema obawy — odrzekły kaczki — nasze piórka napojone są tłuszczem i nie przepuszczają wody. Ale proszę nam powiedzieć, czy jest tu jaka sypialnia? nam się już spać chce.

— Proszę za mną — rzekł kogut uprzejmie i poprowadził kaczki do kurnika. Pokazał im w kątku poślanie ze słomy, które gospodyni kazała dla nich przygotować, potem zliczył kury, a przekonawszy się, że wszystkie są w kurniku, wskoczył na drabinę i powiedział dobranoc całemu towarzystwu.

Kury poszeptały jeszcze troszkę pomiędzy sobą i usnęły po chwili. Tylko jedna Czubatka miała noc niespokojną.

Usadowiła się na żerdzi ponad kaczkami i ciągle się obawiała, żeby na nie nie spaść.

## II.

Krasnopiórka chce koniecznie siedzieć na jajach; ciągle gdacze, piórka stroszy i przysiadła po kątach, chcąc dać do zrozumienia gospodyni, że powinna jej gniazdo przygotować.

Kaczka po długiej naradzie z kaczorem postanowiła toż samo uczynić. Urządziła sobie gniazdo ze słomy i siana w najciemniejszym kącie kurnika, a chociaż dotąd ma tylko jedno jajko, siedzi na niem ciągle. Kury, niezmiernie ciekawe, chciałyby koniecznie zobaczyć to jajko, bo im się zdaje, że jajko kacze musi bardzo dziwnie wyglądać.



— Moja droga kaczucho — mówi Czubatka — nie uwierzysz, jak ja często myślę o tobie i jak ci szczerze życzę wszelkiej pomyślności. Czy nie zechcesz mi pokazać swego jajka? Wierz mi, że tylko przez wielką przychylność dla ciebie chcę na nie popatrzeć. Posuń się troszeczkę. O jakie ładne! większe daleko od naszych i całe zielone. Winszuję, winszuję, kochana kaczo, dajże ci Boże wysiedzieć je szczęśliwie i doczekać się innych.

Wszystkie kury przychodziły jedna po drugiej i naprzykrzały się kacze, aż nakoniec tak jej to dokuczyło, że powiedziała do kaczora:

— Mój kochany, nie chcę ja siedzieć na jajach w tym kurniku; taki tu niepokój z temi kurami, że rady sobie dać nie mogę. Cały dzień gdaczą mi nad głową, a takie ciekawe, co chwila się o coś pytają, i plotą ni w pięć ni w dziewięć. Wyobraź sobie, że któraś

mnie wczoraj zapytała, czy ty znosisz jajka? A czy kogut je znosi? odrzekłam obrażona. Jak można tego jeszcze nie wiedzieć.

Nazajutrz po tej rozmowie, kaczka odpłynęła na wysepkę wraz z kaczołem i usadowiła się w budce. Zostawiła swoje jajko, bo nie mogła go zabrać z sobą, ale spodziewała się mieć ich więcej.

Krasnopiórka doczekała się nareszcie gniazda w kurniku i siedzi na jajach. Trzeba wielkiej cierpliwości, żeby przez trzy tygodnie z miejsca się nie ruszyć. Ale Krasnopiórka jest wzorową mateczką: siedzi spokojnie, czasem tylko wstaje na chwilkę, żeby podjeść trochę i łapki rozprostować. W kurniku przez cały dzień pustki, kogut i kury na noc tylko tam powracają, młoda kureczka nie ma nawet do kogo zagadać, jedyną jej rozrywką jest łapanie much w powietrzu.

Nie sądźcie jednak, żeby Krasnopiórka się



nudziła, o! nie, ona ma tyle na głowie, siedząc na jajkach — zawczasu już myśli o swoich kurczątkach kochanych, radaby odgadnąć, ile będzie kogucików, a ile kureczek.

Kto wie, może który z kuraków będzie podobny do pięknego koguta z sąsiedniego folwarku. Krasnopiórka widziała kiedyś zdaleka tego koguta i bardzo jej się podobał. Taki ma ogon wspaniały, a grzebień... cacko prawdziwe! Prawda, że niebardzo dobrze o nim mówią; ma być hardy i niegrzeczny dla swoich kurek.

Ale czy to wszystko prawda, co mówią?... Chociaż trudno nie wierzyć, bo o tym kogucie opowiadał Krasnopiórce pewien znajomy gołąbek, bardzo poczciwy i rozsądny, nie powinienby darmo obgadywać nikogo.

— Ej, co tam — myśli sobie Krasnopiórka — mój kurak może być jeszcze piękniejszy od tego koguta, a z pewnością będzie lepszy i grzeczniejszy, bo ja go do-

brze wychowam. Przyjdą kurki z sąsiedztwa i powiedzą: cóż to za śliczny kogucik! A któraś z naszych odpowie: To syn Krasnopiórki.

I nasza kureczka aż podskoczyła z radości, myśląc o tem. A wtem kucharka przeszła tuż obok kurnika i smutniejsze myśli nasunęła Krasnopiórcie: może jej biedne kurczątko pójdą na rożen! Ach! toby było okropne! Kurka zamyka oczki, stara się odpedzić tę straszną myśl od siebie.

Tak przeszło dni dziewiętnaście. Krasnopiórka siedzi cierpliwie na jajkach, przeczuwa, że już niezadługo doczeka się kurczątek, bo w jednym jajku słyhać jakiś szmer, jak gdyby się coś poruszało. Mija dzień dziewiętnasty, dwudziesty, szmer słyhać ciągle, a jajko nie pęka. Co tu robić? Krasnopiórka chciałaby je rozbić, ale się boi, żeby nie zrobić co złego kurczątku, przytem i kogut na to nie pozwala, powiada, że kurczątko



powinny sobie same dawać radę, gdy przyjdzie pora wyjść z jajka.

Już nadeszła dwudziesta pierwsza noc, od kiedy kureczka siedzi na jajach, w kurniku cicho, śpią wszyscy i Krasnopiórka usnęła. Wtem nagle się przebudza i czuje, że coś się rusza pod jej skrzydłem.

— Ko! ko-ko-ko! — zawołała kureczka uszczęśliwiona; wszystkie kury się pobudziły, domyśliły się, że to kurczątko przyszło na świat; ale nie mają ochoty wstawać, więc znów chowają główki pod skrzydełka i śpią w najlepsze.

Jedna tylko Czubatka przeciera oczy i zbliża się do młodej mateczki.

— Winszuję ci kochanko — powiada — a teraz posłuchaj, ja jestem starsza od ciebie i mam już dużo doświadczenia. Ty pierwszy raz masz małe kurczątko, nie wiesz jeszcze jak się z nimi obchodzić. Otóż pamiętaj najpierw, żeby ten malec nie wychy-

łał się z gniazda, bo przeziębienie może być dla niego bardzo szkodliwe. Takie kurczątko, przeziębione w pierwszych chwilach po wyjściu z jajka, nie rosną dobrze, a czasem na całe życie pozostają wątłe i osłabione. Pamiętam, jak jeden z moich synków, zaraz po wykluciu się z jajka, wymknął mi się z pod skrzydła i owiał go zimny przeciąg powietrza; wyobraź sobie, że chorował potem ciągle na oczy, aż póki mu wszystkie pióra nie urosły.

— O, dziękuję ci bardzo za tę przestrożę — rzecze Krasnopiórka — będę czuwała troskliwie nad moim drobiazgiem.

Nadszedł dzień i młoda mateczka obaczyła na koniec pierwsze swoje kurczątko. Jakie ładne! żółte, całe pokryte mięciutkim puszkim, a oczki ma czarne jak pacioreczki. Zaledwie kureczka powyrzuciła skorupki z gniazda, gdy drugie kurczątko się wykluło; potem trzecie, czwarte. Krasnopiórka nie



może sobie z niemi dać rady, boi się, żeby nie skaleczyć tego drobiazgu, więc gospodyni przychodzi jej z pomocą, pomaga wyrzucać skorupy i wkłada trochę wełny do gniazda, żeby kurczątkom było ciepło.

Już na koniec wszystkie kurczątko się wykluły, jest ich spora gromadka, czternaścioro; Krasnopiórka musi dobrze rozkładać skrzydła, ażeby je wszystkie przykryć, ale malcy nie chcą siedzieć spokojnie i co chwila wysuwają łebki i spoglądają na świat Boży.

Gospodyni przygotowała smaczne jedzenie dla całej rodziny, położyła talerz na ziemi; kureczka zeszła na ziemię, wołała za sobą dziatwę:

— Glu - glu - glu - glu — chodźcie, dzieci, mama nauczy was jeść... Co tu za dobre rzeczy! Jajka siekane, chlebek, troszkę sałatki, nic niema zdrowszego dla małych kurczątek.

Krasnopiórka bierze odrobinę jedzenia w dzióbek, ale go nie przelyka, tylko upuszcza na ziemię. Dwoje kurczątek najroztropniejszych odrazu zrozumiało naukę mateczki, chwytają jadło dzióbkami i przelykają wybornie. Jeden malec przewrócił kociołka w talerzu, a dwoje najmłodszych chwytają okruszyny i upuszcza je po kilka razy, nie mogąc sobie dać rady. Kureczka gdacze, zwołuje dziatwę, do każdego przemawia z osobna:

— Smiało, kochanku, popróbuj jeszcze, chap! i połknij. A w talerz włożyć nie trzeba, dzióbkiem tylko bierze się jedzenie. No, dosyć już, dosyć, odpocznij troszkę, nie trzeba być takim żarłocznym! A ty, synku, nie popychaj braciszków, to niegrzecznie, dosyć jest miejsca dla wszystkich.

Już cała gromadka się dobrze pożywiła, kurczątko schowały się znowu pod skrzydła mateczki.



Prześliczna dziś pogoda, gospodyni otwiera drzwi od kurnika, Krasnopiórka ma wielką ochotę wyprowadzić dziatwę na przechadzkę.

— Słuchajcie, moje dzieci, czy będziecie bardzo grzeczne?

— Pi-pi-pi-pi — odpowiadają kurczątką wszystkie razem.

— No, to chodźcież ze mną troszkę na podwórze, wygrzejecie się na słońcu, rozprostujecie łapki, ale pamiętajcie, nie odbiegajcie odemnie ani na chwilkę, a jak tylko na was zawołam, natychmiast przychodźcie.

Cała rodzina przechadza się po dziedzińcu, kurczątką biegają naokoło mateczki, piszczą, pytają o to i o owo, ona rozmawia z niemi, tłumaczy im wszystko, opowiada. Ach! jak się przelekły, jak się tulą do matki. Obaczyły Burka.

— Dzień dobry, Krasnopiórko — woła poczciwe psisko — jakżeśmy się dawno nie

widzieli. Całe trzy tygodnie. Mówiliśmy codziennie o tobie z Czubatką. Chciałem nieraz zajrzeć do ciebie, do kurnika, ale mi drzwi przed nosem zamykano. Pokażże mi swoją dziatwę. Śliczne kurczątko, niema co mówić. Czy one się mnie boją? No, no, już idę.

— Ale nie, proszę się nie spieszyć, ja im zaraz wytłómaczę — i zwraca się do kurczątek: — Słuchajcie, dzieci, to jest Burek, wielki nasz przyjaciel, popatrzcie na niego i nie bójcie się, bo on wam nic złego nie zrobi. A ciekawam — mówi znów do Burka — co się dzieje z tą pocziwą kaczychną, czy wysiedziała już swoje jajka?

— Nic nie wiem — odpowiada Burek — dawno jej nie widziałem, ale oto kaczor idzie, możesz go się zapytać. I czego on tak hałasuje?

Kaczor w rzeczy samej wrzeszczał przeraźliwie:



— Kwen-kwen-kwen, te kury takie są żarłoczne, wszystko same zjadły, nic mi nie zostawiły, kwen, kwen, kwen, kwen.

— Mój kochany — rzekł Burek — któż temu winien, że ty się zawsze musisz spóźnić, nigdy nie przyjdiesz w porę, jak gospodyni ziarno posypie.

— Nie mogę przecież odchodzić często od mojej żoneczki — odpowiedział kaczor — toż wiecie, że ona siedzi na jajach. Poczciwa żoneczka, jakiej to trzeba cierpliwości, żeby trzydzieści i jeden dzień wysiedzieć na jednym miejscu!

— To kawał czasu — rzekł Burek — ale za to jaka to radość będzie dla mateczki, gdy kaczęta wypłyną z nią na wodę. Dobrzeby jednak było, żeby wasze dzieci nauczyły się chodzić troszkę zgrabniej od was. Należałoby je za młodu do tego przyzwyczajać.

— Nie, nie, już na to niema rady — rzekł kaczor — dzieci muszą tak chodzić, jak chodzili ich ojcowie i pra-pra-dziadowie. Gdybyśmy chcieli chodzić inaczej, toby się z nas wszyscy nasi krewni bliźsi i dalsi wyśmieli, nie wyłączając łabędzi.

— Trzeba się teraz mieć na ostrożności — mówił Burek — tyle tego drobiazgu będzie chodziło po podwórzu, żeby czasem nie przydeptać którego. A ręczę, że wszystko to będzie się ciągle kręciło koło mojej budy.

A wtem Burek spostrzegł jakąś cudzą krowę na podwórzu. Pobiegł natychmiast za nią i zaszczekał donośnym głosem, ostrzegając nieznajomą, że tu bez pozwolenia wchodzić nie wolno.

We dwa tygodnie potem dwie szczęśliwe mateczki przechadzały się razem po podwórzu. Krasnopiórka prowadziła za sobą swoje kurczątko, a kaczką kaczątka. Jedna



wołała: Glu-glu-glu-glu, a druga: kwen-kwen-kwen. Obie z czułością patrzyły na swój drobiazg i radziły o przyszłości synków i córeczek.

---

## WRÓBELKI.

---

Zimno bardzo na dworze, wiatr marcowy dmucha, dwa wróbelki siedzą na dachu z nastroszonymi piórkami. Biedne ptaszyny drżą całe, łapki mają zdrętwiałe, spoglądają na siebie żałośnie, jakby chciały powiedzieć:

— Bieda! bieda! kiedy my się tej wiosny doczekamy?

I zaglądają do okien, czy nie rzuci tam kto ziarenek, albo okruszynek chleba.

Oho! widać za szybą główkę małej dziewczynki, okno się otwiera i słycać miły głosik, wołający:



— Tu, tu, tu, ptaszyny!

Wróbelki zaświegotały wesoło, oczki ich radością zabłyśły, zatrzepotały skrzydełkami i pofrunęły do okienka. Bogu dzięki mają śniadanie. Parę innych wróbelków z sąsiedztwa pospieszyło także na tę ucztę, grzeczna dziewczynka rzuciła dużo okruszynek z okna i wszystkie się pożywiły.

— Pi, pi, pi, pi — zaświegotały wróbelki. odlatując — dziękujemy grzecznej panience, że o nas pamiętała, ślicznie dziękujemy.

Dwa wróbelki, te co najpierwsze spostrzegły dziewczynkę w oknie, powróciły na dach, a potem schroniły się w swoim gniazdku, bo zimny wiatr bardzo im dokuczał.

Gniazdko to było urządzone pod strzechą, wygodnie i zacisznie, ptaszęta zziębnięte przytuliły się jedno do drugiego, ażeby się rozgrzać choć troszeczkę.

Wicher wieje coraz gwałtowniej, podnosi kłęby kurzawy w powietrze, porywa dym

z komina i unosi go w szalonym wirze; ludzie, którzy przechodzą ulicą, otulają się starannie w ciepłe okrycia.

— Cóż to za straszna zawierucha — mówi wróbelek samiec, wystawiając ostrożnie głowę ze swej kryjówki i spoglądając na świat Boży — cały dom się trzęsie, jak gdyby się miał zawalić.

W tej chwili kawał komina obrywa się z łoskotem, spada na brzeg strzechy i strąca z niej parę snopków, tych właśnie, które przykrywały gniazdeczko. Wróbelki z wielkiego przestachu zamykają oczęta, siedzą cichuteńko i nie śmieją się poruszyć; po chwili samiec odważniejszy spogląda w górę i widzi nad sobą szare ołowiane niebo. Niema już dachu nad gniazdeczkiem, wichura go zerwała! Wróbelek otrząsa skrzydełka, prostuje łapki, dziękuje Bogu, że nie zginął w tej strasznej klęsce.

— Ruszno się, kochanko — mówi do



swojej żoneczki — nie mamy tu już dachu nad głową, trzeba iść dalej w świat. Czy nic ci się nie stało?

— Nie, nie, zdrowa jestem i cała — odpowiada wróbliczka, wysuwając się z kącika i przeciągając skrzydełka.

— A więc ruszajmy dalej — mówi wróbelek — jest tu niedaleko kącik wyborny, gdzie nam będzie bardzo wygodnie. Leć za mną.

I pofrunęli oboje w sąsiednią ulicę, a wróbelek zatrzymał się przy okienku niewielkiego ładnego domku.

— Czy widzisz — rzekł do swojej samiczki — jakie tu jest porządne gniazdeczko? to jaskółki je pobudowały, pomieścimy się w niem doskonale.

— Co też tobie w głowie — odrzeczła wróbliczka — a cóż na to jaskółeczki powiedzą, jak powrócą z zamorskiej swojej podróży? Pewnie się na nas pogniewają.

— Ej, co tam, nim one wróca, my sobie inne gniazdeczko zbudujemy — odpowiada wróbelek — ale teraz takie okropne zimno, że mi się nie chce brać do roboty, cały jestem skostniały. Chodź, chodź, żoneczko, ogrzejemy się i odpoczniemy.

I mówiąc to, wskoczył do gniazdka, a samiczka wsunęła się za nim.

— Co też to znaczy — rzekła — że tu takie pustki w tem gniazdeczku? jaskółki przecież zwykle urządzają sobie miękką pościółkę. Musisz, kochanie, pofrunąć Jeszcze do naszego dawnego mieszkania i przynieść tu wszystkie ździebelka słomy i sianka, któreśmy tam sobie nagromadzili; będzie nam cieplej i wygodniej. A nie zapomnij zabrać tego czerwonego strzępka wełnianego, co tam leży w kąciuku, na prawo i tych kłaczków z kociej sierści, cotośmy je na poddaszu znaleźli.

Wróbel odleciał prędiutko, a wróbliczka



zaczęła porządkować w nowem swoim mieszkaniu.

— Te jaskółeczki są naprawdę bardzo dowcipne — mówiła sama do siebie — jak to one zręcznie to gniazdko ulepiły z ziemi i przytwierdziły je tak mocno do ściany. Jabyim swoim grubym dzióbkiem nie potrafiła nigdy tego dokazać. Nie rozumiem jednak po co to sobie tyle trudu zadawać. Niby to pisklęta nie chowają się równie pięknie i zdrowo w zwyczajnym gniazdku, choćby w szczelinie muru? Ale co tam mój męzulek tak długo porabia? czemu nie wraca? A, przecież leci już nieboraczek i niesie coś w dzióbku — kawałeczek papieru! Szkoda było zachodu, na nic mi się to nie przyda.

— Przepraszam ciebie, duszko, żem tak długo się zabawił — rzekł wróbelek, wskazując do gniazdka — ale zaraz ci opowiem, co mi się wydarzyło. Pofrunąłem tą stroną, gdzie jest gniazdko naszej siostrzyczki i usły-

szalem, przelatując tuż obok, jak się sprze-  
czała ze swoim mężulkiem:

— Masz się czem tak pysznić — mówiła  
do niego — czyż to znów takie bardzo ładne  
te twoje piórka, do starego zardzewia-  
łego żelaztwa podobne? Żebyś jeszcze nie  
miał czarnych prążków na grzbiecie, tobyś  
był daleko brzydszy odemnie.

— A tobie się zdaje, że już niema nic  
ładniejszego od ciebie, dlatego, że masz ta-  
kie same czarne prążki jak i ja — odrzekł  
szwagierek zaperzony — ale za to twoje  
piórka jaśniejsze są od moich, a więc brzyd-  
sze. Co to wiele gadać; każdy wie, że wró-  
belki samcy daleko są piękniejsi od sami-  
czek. Nudzisz mnie już nakoniec tą swoją  
śmieszłą próżnością. Czy masz czarny gar-  
dziołek? odpowiadaj.

— No, nie mam!

— A masz biały paseczek na skrzydeł-  
kach?



— Nie mam.

— A widzisz, nie przechwalajże się swojemi wdziękami.

Siostrzyczka nic już nie powiedziała, ale się nadała okropnie i wyskoczyła z gniazdka, a gdy ujrzała mię siedzącego na dachu, zaczęła przedemną skargi rozwodzić. Perswadowałem jej jak mogłem i nakoniec przekonałem ją, że szwagierek miał słuszość. My doprawdy ładniejsi jesteśmy od was, moje panie. Muszę jednak przyznać, że i wy macie jedną śliczną ozdobę, ten żółty pasek na czółku. Ale zresztą musicie nam ustąpić pierwszeństwa.

Odprowadziłem siostrunię do gniazdka i pogodziłem ich jakoś ze szwagierkiem. Pofrunąłem potem do dawnego mieszkania, ale, niestety! Nie zastałem już ani sianka, ani wełny: wichura wszystko zabrała. Znalazłem tylko ten kawałek papieru, ale to się na nic podobno nie przyda. Musimy jednak dziś na

tem poprzestać, bo strasznie jestem zmęczony. Jutro postaram się o lepszą pościółkę, a teraz prześpię się trochę.

I mówiąc to, wróbelek przytulił się w kątku, wróbliczka poszła za jego przykładem i oboje wkrótce usnęli.

Zawierucha uspokoiła się nazajutrz i dni następnych znośniejsza już była pora. Wróbelki jako tako przebyły marzec; codziennie fruwały do okienka, gdzie dobra dziewczynka sypała jedzenie dla ptasząt, w cieplejsze dni skakały sobie na dachu i nawet odlatywały, dla rozprostowania skrzydełek.

Często świegotały wesoło, zbierały się w liczniejsze gromadki z innymi wróbelkami z sąsiedztwa, rozmawiały zapewne o tem, że już nie długo zimna przeminą, nadejdzie wiosna i ciepło, a ptaszętom lepiej będzie na świecie.



II.

Już miesiąc marzec się kończy, wiatr zimny jeszcze dmucha często, ale słoneczko coraz więcej przygrzewa. Para wróbelków rozgospodarowała się na dobre w gniazdku jaskółek. Teraz, gdy już troszkę pocieplało, i samiec i samiczka w ciągłym są ruchu, co chwila to jedno, to drugie wylatuje z gniazdeczka, szuka, szpera, po płotach, po gałęziach drzew i powraca, niosąc w dzióbku ździebełko mchu, strzępek wełny, niteczkę lub piórko.

— Bądź spokojna, żoneczko — mówi samiec — już teraz nasze dzieciны będą tu miały wszelką wygodę, ustaliśmy im taką mięciutką pościółeczkę. Żebyż to prędzej obaczyć ten drobiazg kochany, te śliczne żółte dzióbki! Chciałbym już usłyszeć, jak to one zaczną szczebiotać: Tatko, tatko! Ale teraz odpocznijmy trochę, bośmy się dobrze napracowali.

Już ranek, dzień biały. Wróbliczka siedzi w gniazdeczku, a samiec podskakuje wesoło na gzymsie w pobliżu, zagląda do gniazdka i woła:

— Pokażno, pokaż jeszcze raz, jak ono tam wygląda?

Wróbliczka podnosi się ostrożnie i odkrywa na chwilkę małe jajeczko brunatno nakrapiane, które zniosła w nocy.

— Jakie śliczne! — woła samiec — siadaj, siadaj prędiutko, żeby się nie oziębiło.

I wróbelek uradowany odlatuje na dach i świegoce w niebogłósy:

— Pi, pi, pi, pi, jajko mam! pi, pi, pi, wam nie dam!

Wszystkie wróbelki z sąsiedztwa zleciały się i winszowały szczęśliwemu ojczulkowi i życzyły mu pociechy z pisklątek.

Nazajutrz samiczka zniosła drugie jajko, a wróbelek z wielkiej radości wyleciał na najwyższy komin i krzyczał na całe gardło:



— Pi, pi, pi, pi, pi! dwa jajeczka mam, nikomu nie dam!

Przy końcu tygodnia mama wróbliczka miała aż cztery jajka i siedziała na nich przez cały tydzień; czasem tylko na chwileczkę odlatywała, gdy jej głód dokuczył. Poczciwy wróbelek rzadko kiedy oddalał się od gniazda, zabawiał swoją żoneczkę, żeby się nie nudziła, przyśpiewywał jej, opowiadał o wszystkim, co się działo w okolicy. Pewnego dnia z rana wróbliczka zawołała na niego:

— Chodźno, posłuchaj; coś mi się zdaje, że w jednym jajku słyhać szelest; może to nasze pisklątko stuka dzióbkiem w skorupkę, może się już chce wydobyć na świat Boży?

I odkryła troszeczkę jajko, aż tu skorupka pękła, mateczka rozbiła ją do reszty i wnet ukazał się malutki dzióbek, potem główeczka i zabawne pisklątko z zamkniętymi oczkami, bez piórek, wysunęło się z jajka.

— Ach! żoneczko — mówi wróbelek za-

frasowany — co to znaczy, że to biedactwo oczek nie może otworzyć i czemu ono piórek nie ma.

— Czyżby to nasze pisklątko miało być kaleką! — rzekła samiczka ze smutkiem. — Leć, proszę ciebie, mążulku, po babunię, ona taka jest doświadczona, może nam co poradzi.

Wróbelek pofrunął przedziutko i wkrótce powrócił ze staruszką.

— Pokażcie mi tego malca — rzekła babcunia wróbliczka. — Co też wam w głowie, moje dzieci, pisklątko jest zupełnie zdrowe i wyrośnie na pysznego ptaka. Wszystkie wróbelki tak wyglądają, gdy na świat przychodzą. Czekaście cierpliwie, a nasze maleństwo otworzy oczki i piórka mu zaczną wyrastać. Pilnujcie tylko, żeby nie było głodne, to rzecz najważniejsza.

Upłynęło dni kilka. Wszystkie piskląta wydobyły się z jajek, zaczynają już porastać



w piórka, otwierają oczki, a od rana do wieczora krzyczą jedno przed drugim:

— Jeść! jeść! jeść!

Mateczka leci szukać pokarmu, bo dziatwa nie powinna być głodna. Małe wróbelki wyglądają niecierpliwie jej powrotu, a gdy ją spostrzegą z liszką w dzióbku, wszystkie wyciągają łebki, potrącają się, włożą na krawędź gniazdka i krzyczą:

— Mnie! mnie! mnie!

I rozdziwiają dzióbki żółte, patrząc chciwie na pokarm, ale mateczka nie może wszystkich obdzielić odrazu, więc jedno dostaje liszkę i połknąwszy ją zamyka oczki, jakby do snu, po chwili jednak krzyczy wraz z innymi i gdy mateczka nową zdobycz przyniesie, wszystkie pisklęta rozdziwiają dzióbki, a rodzice muszą dobrze uważać, żeby każde nakarmić z kolei. I samiec i samiczka mają teraz co robić: niemało liszek muszą nachwytać przez dzień, a żeby

nasycić tych małych żarłoków. Wieczorem dopiero, gdy drobiazg uśnie w gniazdku i oni mogą odpocząć trochę. Cieszą się, że dziatwa tak zdrowo rośnie, nie robią pomiędzy piskletami żadnej różnicy, zarówno kochają trzech tęgich synków i malutką córeczkę, Jasnotkę, tak nazwaną dlatego, że słońeczko jasno świeciło, gdy ona wychodziła z jajka.

Dnia pewnego oboje rodzice dłużej niż zwykle zabawili na wycieczce, upolowali parę pysznych owadów i przynieśli dzieciom, ale mocno się zdziwili, zastając głęboką ciszę w gniazdku.

Pisklęta siedziały przytulone jedno do drugiego, były przestraszone i drżące. Dopiero na widok rodziców mała Jasnotka podniosła łebek, wołając:

— Tatko! tatko! żebyś wiedział, co tu się stało! Jakies dwa ptaki, wcale do nas niepodobne, zaglądały do gniazdka i okro-



pnie się czegoś gniewały; tak nas przestraszyły!

— Ach! to pewnie jaskółki — rzekł wróbelek zmieszany. — A czy nie mogłybyście mi opowiedzieć, moje dzieci, jak te ptaki wyglądały?

— Grzbiet miały ciemno-granatowy — mówiła Jasnotka.

— A brzusek biały — rzekł jeden z braciszków.

— Gardziołek jasno-brunatny — dodał inny.

— To one! to one! — odrzekł ojciec. — Mój Boże, co my teraz poczniemy! Wy jeszcze latać nie umiecie, niepodobna się przenosić. Nie spodziewałem się, ażeby jaskółki tak wczesnie powróciły z wędrówki, toż to dopiero początek kwietnia.

— Darmo się tylko niepokoisz — mówiła mateczka — jaskółki są bardzo dobre i grzeczne, one przecież także dzieci hodują

i wiedzą, co to znaczy. Pewna jestem, że pozwolą nam przemieszkać jeszcze jakiś czas w swoim gniazdeczku.

— Bardzo wątpię — rzekł ojciec — w każdym razie muszę tu zostać i rozmówić się z niemi, gdyby nadleciały, a ty już sama spiesz po jedzenie dla dzieci. Widziałem mnóstwo liszek na tej jabłoni, co tam stoi obok kościółka, wszak znasz ją dobrze.

Mateczka odleciała, a ojculek usiadł w gniazdeczku obok dzieci, nastroszył piórka i czekał odważnie na jaskółki.

Wkrótce dał się słyszeć szelest i para jaskółek usiadła na gzymsie tuż obok gniazdka.

— Dobrze, żeśmy zastali jegomości — rzekł samiec do wróbelka — mamy z sobą do pomówienia. Słyszałem ja nieraz od znajomych, że wróble przywłaszczają sobie gniazda jaskółek, ale nie chciałem temu wierzyć, bo miałem je za uczciwe ptaszki. Tymczasem jegomość wpakowałeś się bez po-



zwolenia do naszego mieszkania w czasie nieobecności naszej, a ponieważ nie mamy ochoty budować nowego gniazda bez żadnej potrzeby, więc proszę mi się zaraz wynosić.

— Chętniebym to uczynił — rzekł wróbelek pokornie — wyznaję, że nieprawnie wprowadziłem się do tego gniazdko, ale byłem w bardzo smutnem położeniu, wichur zniszczył moje mieszkanie i sądziłem, że państwo dłużej zabawicie zagranicą. Nie wiem sam, co pocznę teraz, bo biedna moja dziatwa nie umie jeszcze latać.

— Wiesz co, mężulku — odezwała się jaskółka samiczka, rozrzewniona widokiem piskląt, skulonych na dnie gniazdko — my możemy jeszcze kilka dni poczekać, niema nic tak nagłego.

Potem zaczęli oboje mówić między sobą jakimś obcym językiem, pewnie po afrykańsku, bo jaskółki w Afryce zimują. Wróbelek

tego nie rozumiał, ale domyślił się, że samiczka ułagodziła samca, a gdy jaskółki odleciały, zaświegotał radośnie.

Pisklęta popodnosiły łebki, Jasnotka otworzyła oczki, które zamknęła była z przestachu, a gdy mateczka powróciła z lizką w dzióbku, wszyscy czworo zaczęli krzyczeć w niebogłosy, rozdziawiając dzióbki.

### III.

Jeszcze jest bardzo rano, niedawno słońce wzeszło, małe wróbelki śpią w najlepsze; ale oboje rodzice już się przebudzili i rozmawiają o jakichś ważnych sprawach.

— Upewniam cię, moja kochana — mówi ojczulek wróbel — że one mogą już bezpiecznie rozpocząć naukę fruwania.

— Dajże pokój, zmiłuj się — odrzecz mama wróbelczka — ja ci mówię, że jeszcze zawcześnie; one biedactwa takie słabe mają skrzydełka. Jasnotka pierwsza upadnie zaraz



na podwórze i koty ją pożrą. Proszę ciebie, poczekaj choć dwa dni jeszcze.

— Nie, nie, nie — powtarza ojczulek — rzecz skończona, dziś musi się odbyć pierwsza próba. Trzeba się koniecznie wynieść z tego gniazda, nie chcę dłużej nadużywać uprzejmości tych dobrych jaskółek.

Pisklęta przebudziły się w czasie tej rozmowy rodziców, oczki im błyszczą z radości, bo małe wróbelki zazwyczaj, nim jeszcze w piórka porosną, już niecierpliwie wyglądają cnwili, gdy będą mogły skrzydełka rozwinąć do lotu.

Najstarszy wróbelek wysuwa się z gniazdka, siada na brzegu... i zaczyna się trząść cały, spogląda w dół, w podwórze, ach! jak tam okropnie głęboko! Biedny ptaszek przestrasza się, piszczy żałośnie, mama wróbliczka piszczy jeszcze głośniej, bo obawia się o malca, reszta piskląt jej dopomaga, wszyscy krzyczą przeraźliwie.

— Nic, to nic — uspakaja ojczulek — śmiało, synku, nie bój się, patrz w górę. Trzymaj się mocno na skraju gniazdeczka, trzy paluszki naprzód, a jeden w tył; o tak, dobrze. A teraz leć za mną na dach żwawo. Patrz na mnie i rób to samo, co ja.

I wróbel ojczulek wyciąga szyjkę, a malec tak samo swoją wydłuża, ojczulek rozwija skrzydełka, malec rozwija swoje, ojczulek leci... ale malec nie rusza się z miejsca.

Tatko się gniewa, powraca do gniazdka, wpycha do środka małego tchórza i woła na innego. Ale wszyscy trzej braciszki tak są bojaźliwi, że siedzą jak niepyszni na skraju gniazdka i nie chcą pofrunąć, jedna tylko Jasnotka zrywa się odważnie, podlatuje aż na dach.

Nazajutrz i dni następnych nauka poszła lepiej, wróbelki były coraz śmielsze, latały na dach, na komin, a w tydzień puszczały



się już na dalsze wycieczki z rodzicami. Wówczas ojczulek wróbel zapowiedział, że się przeniosą na wieś, na letnie mieszkanie, żeby dzieci nabrały sił i zdrowia.

W niedzielę rano cała rodzina poleciała podziękować grzecznym jaskółeczkom za gościnność i dać znać, że gniazdko już opróżnione, potem wszyscy wybrali się w drogę. Przybyli wkrótce do pobliskiej wioski; ojczulek wróbel zatrzymał się na dachu kościółka, skąd śliczny widok roztaczał się na całą okolicę.

— Patrzcie — mówił tatko — te łąny, zbożem okryte, te ogrody, sady, pełne drzew owocowych, wszystko to nasze. Znajdziemy tu mnóstwo wybornych ziarek, owoców, owadów bez liku. Strzeżcie się tylko jastrzębia, moje dzieci, bo ten drapieżnik pożera wróbelki. Unikajcie także spotkania z wieśniakami, bo oni nie lubią ptasząt naszego rodu.

— Doprawdy? — rzekła Jasnotka — a dla-  
czego?

— Ba! dlaczego — mówił ojciec — bo  
im zjadamy trochę ziarenek i wisienek; zapo-  
minają, że gdyby ptaszęta nie wyniszczały  
liszek, to oneby pożarły liście na drzewach  
i owoceby nie obrodziły. Ale co ja widzę!  
oto tam w podwórku gospodyni posypała  
jeść kurom. Lećmy tam, dzieci, bo wam się  
już pewnie jeść chce. Kury są bardzo  
uprzejme, nie pożałują nam troszkę swego  
ziarna.

I cała rodzina pofrunęła w tę stronę.

Pobył na wsi bardzo posłużył wróbelkom.  
Znajomi z miasta odwiedzali je parę razy i opo-  
wiadali, że pisklęta wyrosły i wypasły się  
znakomicie. Mateczka siedziała już znowu  
na jajkach, a ojczulek upewniał, że im się  
doskonale powodziło w okolicy, bo mieli  
tam pod dostatkiem jedzenia, obfitość rozma-  
itego zboża i najwyborniejsze gatunki sma-



kowitych owadów. Kilkanaście wróbelków, usłyszawszy o tem, wybrało się na letnie mieszkanie do tej samej wioski. Ale gdy powiał zimny wiatr jesienny, wszystkie znów powróciły do miasta, bo tam jest dużo dobrych dzieci, co pamiętają o głodnych ptaszętach.

---

## POGRZEB SZCZURĄ.

---

Szczur polny zginął dnia pewnego, niewiadomo z jakiej przyczyny. Jedni mówili, że ze zmartwienia, drudzy, że ze starości, co jest najpodobniejsze do prawdy, bo to był szczurek roztropny, unikał starannie wszelkich niebezpieczeństw i znał się na podstępach: to też nie dziw, że dożył sędziwego wieku. Zawsze jednak kiedyś zginąć musiał — i zginął. Padł nieborak wśród pola, przewrócił się do góry łapkami i leżał tak z otwartym pyszczkiem, z wystawionemi zębami. Zęby te musiały gryźć jeszcze niedawno coś twardego, bo były starte po-



rządnie, jak zwykle u skrobogryza. Niestety! już więcej nigdy gryźć nie miały.

Przyjaciele szczura oplakiwali go przez cały ranek, a krewni przez cały dzień. Najbliższa rodzina przyszła parę razy odwiedzić martwe szczątki, ale rozniosła się pogłoska, że mucha plująca zniosła jajko w pyszczku nieżywego szczura, i strach padł na wszystkich; opuścili go i krewni, i przyjaciele, nikt nie chciał się zająć pogrzebem i biedny szczur pewnieby do tej pory leżał wśród pola, gdyby...

W tej samej okolicy mieszka pod małym pagórkiem liczna rodzina grabarzy. Ci grabarze nie mają wprawdzie nosków, ale na główce ich sterczą małe różki, a temi czują zdaleka trupa, który potrzebuje pogrzebu. Wówczas liczną gromadką ruszają w tę stronę; wszyscy ubrani są w mundury czarne z czerwonym, bo czerwony kolor musi u nich oznaczać żałobę.

Owady te blisko są spokrewnione z chrabąszczami, a jednak znacznie się od nich różnią usposobieniem i sposobem życia; to też pomimo pokrewieństwa nigdy chrabąszcze nie poufała się z niemi, przynajmniej nikt nie widział, ażeby chrabąszcz, spotkawszy grabarza, przywitał się z nim i podał mu łapkę.

Dnia pewnego, we trzy dni po zgonie szczura, stary grabarz zawołał, przebudziwszy się raniutko:

— Coś mi się zdaje, że będziemy mieli robotę w tej stronie nad strumykiem. Zalutuje mnie zapach, jakby szczura.

— Szczura? — odezwał się młodszy grabarz — a mnie się zdaje, że wyraźnie czuć kreta, a nie szczura.

— A ja mówię, że szczura.

— A ja mówię, że kreta.

— Cicho bądź, młokosie! — krzyknął



starszy — będziesz mi tu uczył takiego doświadczonego grabarza, jak ja!

Tamten umilkł zawstydzony i cała gromadka ruszyła w stronę strumienia, gdzie leżały szczątki szczura. Przybywszy na miejsce, grabarze obejrzeliby dobrze grunt.

— Ho, ho! — rzekł jeden — za dużo tu jest kamyków, nie damy sobie z niemi rady, trzeba to zwierzę dalej przenieść.

I wszyscy grabarze znikli w jednej chwili pod szczątkami szczura. Dwóch tylko czy trzech młodych swawolników wlało na głowę szczura i łechtalo mu uszy, żeby się przekonać, czy nie ożyje.

— Spostrzegł to jeden ze starszych:

— Próżniaki! — zawołał surowo — starsi pracują, a wam zabawa w głowie! Do roboty!

A po chwili nie było widać ani jednego grabarza; szczurek posuwał się powoli, niesiony na barkach całej tej gromadki. Wreszcie przystanęli wszyscy; tu już zapewne

grunt był stosowniejszy i grabarze zabrali się do pogrzebu, siedząc ciągle pod tułowiem szczura i grzebiąc ziemię przednimi łapkami, a odrzucając ją tylnymi.

Pochować dużego szczura, to nie tak łatwa sprawa dla takich małych owadów i niemało na to czasu potrzeba.

To też młodzież zmęczyła się prędko, żaden jednak nie śmiał się odezwać, bo starsi dobrze pilnowali robotników i groźnie na nich spoglądali. Jednakże dwom roztrzepańcom udało się jakoś podejść tych czujnych stróżów, wymknęli się i wleźli na grzbiet szczura, gdzie ich nikt spostrzedz nie mógł.

— Mnie już się ta robota uprzykrzyła — mówił jeden do drugiego — kurcze mam w przednich łapkach, a i tylne mnie bołą. Nie rozumiem, do czego to jest potrzebne; poco ja mam koniecznie grzebać tego szczura? Co mnie to ma obchodzić? Niechby rodzina zajęła się pogrzebem.



— Zapewne — rzekł drugi — już z godzinę pracujemy ciężko, a starzy powiadają, że to może potrwać do nocy. Wiesz co, lepiej wybierzmy się na spacer, mam wielką ochotę spróbować skrzydeł. Już mi się znużyło ciągle chodzić po ziemi.

— Zgoda, lećmy! — zawołał tamten i podniósł rogowate pokrywki, wydobył skrzydełka prawdziwe, rozwinął je i miał już pofrunąć, gdy usłyszał głos dobrze znany:

— Poczekajcie-no chwileczkę — mówiła tuż przy nich sędziwa babcia, której nie spostrzegli, a która wysłuchiwała ich rozmowy. — No, no, nie bójcie się, nie będę was łajała — mówiła dalej staruszka, pobłażliwsza od dziadków i ojców, jak wszystkie babunie — nie zabraniam wam lecieć na spacer, powiem tylko wprzód w kilku słowach, dlaczego to my grzebiemy tego szczura. Słuchajno, wnuczku kochany, czy ty pamiętasz, gdzie byłeś i co

się z tobą działało, gdyś po raz pierwszy ujrzał światło dzienne?

— Zdaje mi się, że wydobyłem się z pod ziemi — rzekł młody grabarz.

— A ja jestem tego pewny — mówił drugi — pamiętam, że mi tam strasznie było nudno pod ziemią.

— A cóżeście wy tam jedli? — pytała babcia.

Malcy nie umieli na to odpowiedzieć.

— Aha! Żarłoki małe! Wyście zajadali mięso żabie.

— Żabie mięso! — powtórzyli ze zdziwieniem dwaj młodzi grabarze.

— A widzicie — prawila dalej staruszka — rodzice wasi pogrzebali żabę, mama złożyła na niej jajka, a gdyście się z nich wykluli, znaleźliście gotowe pożywienie tuż przy sobie. Widać po was, żeście nie zaznali głodu, bo wyglądacie doskonale. Teraz już wiecie, dlaczego sprawiamy pogrzeb szczurowi; żo-



neczki wasze poskładają w tym grobie swoje jajka, a dziatwa, która z nich wyjdzie, będzie miała zapas smacznego mięsa. Czyście zrozumieli już wszystko?

— Rozumiem — rzekł jeden z malców — ale nie mam jednak wielkiej ochoty do tej pracy i wolałbym sobie pofruwać.

— No, no, pofruwajcie trochę, jeszczeście tacy młodzi — powiedziała babcia.

Malcy natychmiast skorzystali z pozwolenia, rozwinęli skrzydełka i pofrunęli wesoło; bujali tak w powietrzu przez dzień cały i o zmierzchu dopiero powrócili do swojego pagórka.

— Czy już robota skończona? — zapytał stary grabarz kaleka, który nie mógł już pracować i zawsze w domu zostawał.

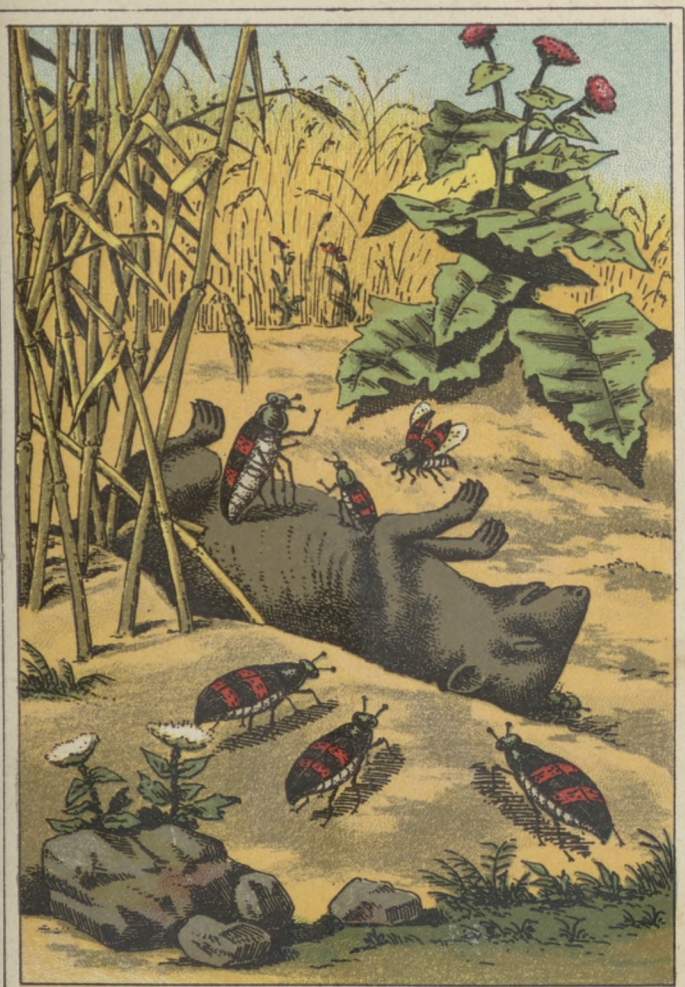
— My nie byliśmy teraz przy robocie — odpowiedział jeden z malców — odbyliśmy bardzo wesołą wycieczkę po polach — a gdy stary grabarz spojrział na

niego surowo, dodał spiesznie: — Babcia nam pozwoliła.

Gromadka robotników powróciła dopiero dnia następnego około południa. Wszyscy byli zmęczeni niezmiernie, bo pracowali bez odpoczynku przez dwadzieścia cztery godziny. Samiczki grabarzy poskładały jajka w grobie szczura i wkrótce z tego grobu wyszła liczna gromadka młodych owadów, a te prowadziły dalej rzemiosło swoich rodziców i dziadów tak jak je po nich prowadzić będą ich dzieci, wnuki i prawnuki. Wszyscy z ojca na syna są grabarzami.

---





No, no, pofruwajcie trochę, jeszczeście tacy młodzi...

BIBLIOTEKA  
BN  
W RODOWI



## PROMYCZEK SŁOŃCA.

---

Już dzień biały, słońeczko oddawna wstało, a mała Helcia śpi jeszcze. Uśmiecha się przez sen, pewnie jej się śni coś ładnego.

Nikt nie wchodził do pokoju, drzwi zamknięte, któż to pocałował śpiącą Helcię? Może ptaszek wleciał oknem? O, nie, okno zamknięte, to promyczek słońca przecisnął się przez szparę w okiennicy i dotknął usteczek dziewczynki. Dziwi się promyczek, że ona śpi jeszcze. Ale Helcia już się przebudza, przeciera oczki, spogląda na wszystkie strony i spostrzega jasny promyczek słońca.

— Promyczku śliczny, błyszczący -- mówi do niego — jakiś ty grzeczny, żeś zajrzał tu do mnie. Ty pewnie już dawno wstałeś, i może pracujesz od samego rana.

— O, tak — odrzekł promyczek — ja nigdy nie próżnuję; słoneczko posyła mnie na ziemię po to, żebym pracował.

— Słoneczko — rzekła Helcia — to ono ciebie przysłało?

— A tak — mówił promyczek — ono jest takie ogromne i tak daleko mieszka, że nie może samo tu przywędrować, więc nas posyła, promyczki swoje. My spływamy na ziemię, przynosimy wam światło i ciepło.

— Opowiedz-że mi, mój promyczku, co ty robiłeś dziś rano — pytała dziewczynka.

— O! różne rzeczy — rzekł promyczek — wszystkiego ci opowiedzieć nie mogę, ale powiem choć trochę, kiedyś taka ciekawa. Najpierw, gdy wypłynąłem z za wzgórza, zajrzałem do lasu, przebudziłem zajączka,



który zerwał się szybko i pomknął w pole szukać pożywienia. Potem wpadłem do gniazduka dzierłatki; mateczka się przebudziła najpierwsza, zbudziła ojczulka i dziatwę, i wszyscy zaczęli śpiewać piosenkę poranną, Ujrzał mnie chrabąszcz i schował się pod listek dębowy, nie chciał na mnie patrzeć. O godzinie piątej oświetliłem zarośle pod żywopłotem przy drodze; spostrzegłem tam pączek bladorożowego powoju, szczelnie zamknięty, otulony w zielone osłonki; ja go musnąłem lekko, ciepłym tchem owiałem i śliczny kwiateczek rozwinął się, zwrócił się do mnie, a ja się cieszyłem, patrząc na niego...

W tych samych zaroślach poświęciłem pająkowi, który snuł swoją siateczkę. Byle mu tylko nikt nie popsuł tej roboty, bo się przy niej dobrze napracował. Zajrzałem w kropelki rosy, wiszące na trawkach, zarumieniłem wiosienkę, rozgrzałem motylka, który się wydobywał z pupki i dużo, dużo innych rzeczy

robiłem. Jutro ci resztę opowiem, bo dziś już późno, wstawaj dziewczynko.

— O, proszę cię, mój promyczku, powiedz coś jeszcze — prosiła Helcia — a czy widziałeś już dziś jakie dzieci?

— Oho! widziałem ich niemało — odrzekł promyczek — nie wszystkie dzieci tak późno wstają, jak ty. Mała Kasia dawała jeść kurkom, bo mama jej, Maciejowa, wyjechała przededniem na jarmark. Janek popędził owce w pole: wstał razem z ojcem, który poszedł kosić trawę na łące. Niezadługo i żniwiarze pójdą w pole z sierpami, ale jeszcze kłosa niezupełnie dojrzały, jeszcze wprzód my promyczki, musimy koło nich popracować. My chętnie pomagamy pracowitym ludziom, ale powiem ci szczerze, że nie lubimy próżniaków.

— Mój śliczny promyczku — rzekła Helcia — dziękuję ci bardzo za to wszystko coś mi dziś opowiedział; jutro o tej porze nie zastaniesz mnie już w łóżeczku, wstanę



wcześniej i wezmę się do pracy razem z tobą.

Mówiąc to, Helcia zerwała się szybko, otworzyła okiennice, mnóstwo promyczków wpadło do pokoju, zrobiło się jasno, a nasza dziewczynka zmówiła paciorek, ubrała się, zjadła śniadanie i wzięła się do roboty, bo pamiętała, że promienie słoneczne nie lubią przyświecać próżniakom.

---

## PRZYGODY RODZINY MYSZEK.

---

W ciemnym kąciku w piwnicy, za dużą beczką, mateczka myszka urządziła sobie gniazdko. Nakładła tam mnóstwo strzępków rozmaitych, waty, wełny, kawałeczków papieru i innych rzeczy, ażeby malutkim myszkom było wygodnie. Dobra ta mateczka ma ośmioro dzieci, wczoraj dopiero na świat przyszły, a taki to drobiazg, mało co większe od orzeszków; oczęta ich są zamknięte, włosków jeszcze nie mają wcale, ale mateczce myszce wydają się prześliczne. Oczy jej błyszczą z radości, gdy na nie patrzy, karmi je swoim mleczkiem, pieści, głaszcze i liczy



raz po raz; wielkieby to było dla niej zmartwienie, gdyby przypadkiem zabrakło którego.

Myszki rosna prędko, bo żarłocznie popijają mleczko, w tydzień zaczynają porastać popielatymi włoskami, a trzynastego dnia po urodzeniu otwierają oczki. Szczęśliwyż to był dzień dla mateczki! Pobiegła natychmiast do śpiżarni i przyniosła im kawałeczek sera. Małym myszkom tak zasmakował ten nowy pokarm, że już nie chciały pić mleczka i mama myszka musiała ciągle odtąd biegać i szperać po wszystkich kątach, od piwnicy aż do strychu, aby im dostarczyć pożywienia.

Dnia pewnego, bardzo raniutko, mama myszka wyprowadziła dzieci z gniazdka, przeszła z nimi po piwnicy, potem zapędziła je znowu do kącika, usiadła na tylnych łapkach i tak do nich mówiła:

— Moje drogie dzieci, dziś zaczęłyście już szesnasty dzień waszego życia; dotychczas pielegnowałam was z macierzyńską tro-

skliwością, karmiłam swoim mlekiem, a jak tylko wam ząbki podrosły, miałyście pod dostatkiem orzeszków, sucharków i innych przysmaczków, a wszystko to ja wam znosiłam. Ale teraz wyrosłyście już na duże i rozsądne myszki, powinnyście sobie same dawać radę.

Wy, synkowie moi, pamiętajcie, ażebyście byli zawsze grzeczni i uprzejmi dla waszych siostrzyczek, a wy, córeczki, jeżeli kiedy będziecie miały własne dziatki, pielęgnujcie je tak troskliwie, jak ja was pielęgnowałam. Życie myszek pełne jest niebezpieczeństw; miejcież się ciągle na baczności, po to wam Pan Bóg dał dobre oczki i uszki. A teraz pokażę wam, jak to kucharka chwytła w pułapkę nieroztropne myszki. Patrzcie na ten domeczek taki ładny. Widać w nim przez kratkę różne wyborne przysmaczki. To jest straszliwa zasadzka. Gdyby która z was tam weszła, natychmiastby się udusiła.



Słyszając te słowa, myszki przerażone rozbiegły się na wszystkie strony, ale mateczka zwołała je znowu i tak dalej mówiła:

— Prysmażona słoninka pachnie bardzo przyjemnie i smak ma doskonały, ale tu w piwnicy nie powinniście się nigdy na nią łąkomić, bo wpadniecie w pułapkę. A teraz słuchajcie uważnie: gdy obaczycie zdaleka ogromnego zwierza, o żółtych, błyszczących oczach, o nastroszonych wąsach, umykajcie pędem i chowajcie się w najciemniejszą dziurkę, bo to jest nieprzyjaciel naszego rodu, kot, straszny drapieźnik. To on pożarł biednego waszego tatkę. Mam jeszcze wiele rzeczy do opowiadania wam, moje dziatki drogie, ale odkładam to na jutro, bo nie spamiętałybyście wszystkiego odrazu. Tymczasem chodźcie za mną, pokażę wam, gdzie są najlepsze zapasy żywności.

Mówiąc to, myszka wdrapała się na beczkę, potem biegła wzdłuż długiej belki

w górę i zatrzymała się przy małej dziurce w ścianie.

— Patrzcie, dzieci — rzekła — to jest wejście do korytacza mysiego, który prowadzi do spiżarni domowej. Pradziadowie wasi i prababki wygrzebali ten korytarz własnymi łapkami. Powinniście im być wdzięczni za to.

Młode myszki pobiegły zwawo za mateczką, ale z trudnością mogły nadążyć, bo korytarz był bardzo ciemny i pełen ciasnych zakrętów. Dostali się na koniec wszyscy do spiżarni.

— O, jakież to przepyszne zapachy! — wołały małe myszki, pokręcając noskami.

— Oto macie tu najpierw wyborną szynkę — mówiła mateczka — jedzcie, dziatki, to bardzo zdrowe dla myszek. Tam znów jest bardzo dobre mięsko świeże, konfitury, cukier.

— Doskonałe rzeczy! — powtarzają myszki,



oblizując się — przyjdziemy tu i na obiad i na podwieczorek.

A wtem pisk żałosny odzywa się z półki; mama myszka pospiesza w tę stronę, wdrapuje się na duży bochenek chleba, o! cóż to za straszny widok! Mała myszka wpadła w okropną donicę, pełną mleka i nie może się stamtąd wydobyć. Mateczka strapiona wskakuje na brzeg donicy, podaje łapkę tonącej, woła na nią najczulszymi wyrazami.. Wszystko nadaremnie! Mała myszka upada na siłach, zanurza się całkowicie w mleku i martwe jej ciało osuwa się na dno donicy. Mama myszka ze łzami w oczach zeskakuje z półki, zwołuje resztę dziatwy i cała gromadka z wielkim smutkiem powraca do piwnicy.

— Co za nieszczęście! — mówi biedna mateczka — pierwszy raz wyprowadziłam was na świat, moje dzieci, a już jedno utraciłam w tak smutny sposób! Nie będę miała odwagi puścić was na krok od siebie.

— O, nie bój się, mateczko — odpowiadają małe myszki — my będziemy bardzo ostrożne.

— Pamiętajcie o biednej waszej siostrzyczce, rzeczce mama — i niech nieszczęsny jej koniec będzie nauką dla was. Strzeżcie się, bo świat jest pełen niebezpieczeństw.

Myszki słuchają napomnień matki, ale swoboda tak im się podobała, że nie mogą chwilki posiedzieć na miejscu. Biegają, skaczą, kręcą się na wszystkie strony, szperają wszędzie i noski wścibiają w każdy kącik.

W piwnicy jest mnóstwo ciekawych rzeczy. Oto naprzykład pod ścianą stoi rząd butelek próżnych.

— Co to takiego? — mówi mała myszka i drapie się na butelkę, zagląda do środka. — Uf, jak tam czarno, jak głęboko! poco ja tam pójdę — i złazi ostrożnie na ziemię.

— A to dziwny jakiś budynek — rzeczce druga, włącząc na latarnię, stojącą obok



beczki. — Coś tam pachnie, trzeba by zobaczyć. Drzwi zamknięte, ale u góry jest otwór w sam raz dobry dla mnie. — I spuszcza się w głąb latarni.

— Wyborna rzecz — powiada nasza myszka, gryząc ze smakiem świecę łożową — chodźcie prędzej, braciszki, siostrzyczki, wszyscy się najemy, jest tu tego dosyć.

Ale myszki nie bardzo są głodne i myślą sobie, że lepiej poczekać i zobaczyć wprzód, jakim sposobem braciszek wydobędzie się z tego budynku. Niestety! niełatwa to sprawa, szkło jest niezmiernie ślizkie i nieboraczek nie może się wdrapać na gładką taflę; co chwyci ją pazurkami, to i spadnie zaraz; widzi nakoniec z przerażeniem, że jest uwięziony.

— Słoninka! słoninka! taka pachnąca — woła znów inna mała myszka.

— Gdzie, gdzie? — odzywają się ciekawe głosiki ze wszystkich stron.

— Tu, patrzcie, w tym małym domeczku drucianym.

— Stójcie! — przerywa najstarszy braci-  
szek — to pewnie pułapka; pamiętacie, co  
mameczka mówiła?

— Prawda, prawda — mówią wszystkie  
myszki, spuszczając noski — wracajmy do  
mamy, bo już i tak aż dwa nieszczęścia nas  
dziś spotkały.

Mama myszka była w rozpacz, gdy się  
dowiedziała, że i synek jej padł ofiarą nie-  
roztropności; biedaczka przechorowała po-  
dobno ciężko ten dzień, w którym straciła  
dwoje dzieci.

## II.

Nazajutrz myszki poszły znowu na wy-  
cieczkę. Dwie siostrzyczki spostrzegły w gó-  
rze okienko, przez które światło wpadało do



piwnicy, a że były ciekawe, więc się wdrapały po ścianie i zajrzały przez kratę.

— Tam musi być bardzo ładnie na dworze — powiedziała jedna do drugiej — chodźmy sobie pobiegać i obaczyć trochę świata.

I nie namyślając się długo, dwie myszki wysunęły się okienkiem i puściły się śmiało przez sam środek ulicy ogrodowej. Macius leżał w pobliżu na ławeczce. Właśnie się ze snu przebudził, poziewał, przeciągał się leniwie, aż tu słyszy leciutki szelest w trawie... Nastawia uszy, powstaje i jednym susem rzuca się... na biedną myszeczkę; już ją pochwycił w straszne swe pazury, już po niej.

Druga siostrzyczka, przerażona, ledwie żywa, umyka w inną stronę, pędzi, skacze; nie patrzy przed siebie, ani się ogląda, już przebiega cały ogród warzywny, przysiadła na chwileczkę pod płotem, odetchnęła i bieży

dalej, przez pole, przez łączkę, aż w końcu zatrzymała się pod lasem.

Jakże tu ślicznie! cicho, spokojnie, wie-  
tryk tylko szeleści w drzewkach i ptaszęta  
świegocą na gałązkach. Ale biedna myszka  
nie może jeszcze przyjść do siebie. Ciągłe  
jej się zdaje, że widzi straszliwego zwierza  
i duże oczy żółte, i nastroszone wąsiska.  
Niebożątko takie zmęczone, że nie może już  
biedz dalej, więc wsuwa się w zaciszną kry-  
jówkę u stóp dużego drzewa i zasypia.

Przebudziwszy się, myszka zaczęła się  
ogłądać na wszystkie strony ze zdziwieniem.  
Nie mogła pojąć zrazu, jakim sposobem do-  
stała się do lasu. Ale po chwili przypom-  
niała sobie wszystko, zadrżała na myśl o strasz-  
nej przygodzie siostrzyczki i zasunęła się głę-  
biej jeszcze w swoją kryjówkę. Przegryzła  
parę listeczków zielonych na śniadanie i przez  
kilka dni z rzędu nic innego nie jadła.

Nakoniec głód jej tak dokuczył, że pew-





Mała myszka wpadła w ogromną miskę pełną mleka...

BIBLIOTEKA  
BN  
WARSZAWA



nego rana odważyła się wybiedz w pole. Znalazła kłosek zbożowy i zaczęła gryźć ziarneczka z wielkim smakiem. A wtem posłyszała jakiś szelest nad sobą i w tejże samej chwili coś ciężkiego upadło jej na główkę. Odurzona i przestraszona, strzepnęła z siebie tę zawadę, obejrzała się i spostrzegła malutką myszkę kasztanową, która zaczęła uciekać przed nią. Aż tu tymczasem druga podobna myszka, większa troszkę, spuściła się z wysokiego źdźbła i zaczęła łąać malutką.

— Nieposłuszne dziecko — mówiła — tyle razy ci powtarzam, żebyś nigdy bez pozwolenia nie wychylała się z gniazdka. Widzisz, przestraszyłaś tylko bez potrzeby tę myszkę domową. Idź prędzej do łóżeczka i siedź spokojnie. Przykro mi — dodała myszka uprzejmie, zwracając się do naszej znajomej myszki szarej — że ta roztrzępana moja córeczka tak cię przestraszyła,

kochana kuzynko. Czy przynajmniej nie bardzo cię mocno uderzyła? Ale to nic, to przejdzie. Ach, co to za kłopot z temi dziećmi, a jeszcze, gdy słuchać nie chcą! Cieszę się jednak, że ten przypadek dał mi sposobność zapoznać się z tobą, kuzyneczko. Wybrałaś się tu pewno na letnie mieszkanie w nasze strony; a gdzież są twoi rodzice?

— Mama została w domu — odrzekła myszka domowa — a ja przed kilku dniami tu przybyłam niespodziewanie, uciekając od straszego nieprzyjaciela. Teraz obawiam się powracać, bo tam takie okropne niebezpieczeństwa spotykałam na każdym kroku. Tu jakoś bezpieczniej jest i spokojniej.

— Wiesz zapewne, kochanko — mówiła myszka kasztanowata — że jesteśmy z sobą w blizkiem pokrewieństwie. Ja jestem myszka karłowata, najmniejsza z całej naszej rodziny, mieszkam tu w polu, urządziłam sobie ładne gniazdeczko okrągłe na badyłu, utkałam je



ze ździebełek zbożowych, wysłałam suchymi listeczkami i trawką. Bardzo to jest miłe i wygodne mieszkanie; zaprosiłabym cię chętnie, ażebyś w niem troszkę wypoczęła, ale boję się, bo ty jesteś znacznie cięższa odemnie i mogłaby się podłoga pod tobą zawalić. Ale coś ty, kochanko, mizernie wyglądasz... Musiałaś być źle żywiona. Pokażno ząbki. Oho! zgadłam, już troszkę zanadto wyrosły.

Myszka domowa zadziwiła się, słysząc te słowa. Była ona jeszcze bardzo młodziutka i niedoświadczona.

— Tak, tak, już wiem, co to jest — mówiła dalej mysz karłowata, kiwając główką — musiałaś przez dni kilka jeść same miękkie rzeczy i dlatego ci się zęby tak wydłużyły. Czy nie mówiła ci matka, że nasze zęby ciągle rosną i że je trzeba starannie ścierać, gryząc twarde przedmioty, bo inaczej mogą się pozaginać i wtenczas niezdatne są do je-

dzenia? Szkoda, żeś tak wczesnie odbiegła od matki, bo nie miała czasu wychować cię, jak należy. Ale gdzież to się tak spieszysz, kochanko?

— A cóż mam robić — odrzekła myszka domowa — podjadłam trochę tych smacznych ziarenek, pójdę teraz do swojej jamki pod drzewo.

— Poczekaj — mówiła tamta — czego masz siedzieć sama jedna w jakimś ciemnym zakątku. Patrz, jaka śliczna pogoda! Lepiej chodź ze mną na przechadzkę, ja ci pokażę, czem to porządna myszka może się wyżywić w polu.

Mówiąc to, zawołała na swoją dziatwę. Kilka malutkich myszek zbiegło szybko z wierzchołka badyła, na którym gniazdko było urządzone, i całe towarzystwo wyruszyło na przechadzkę, na cały dzień.

Nasza młoda myszka wieczorem dopiero o zmroku powróciła do swojej dziurki pod



drzewem, uszczęśliwiona z tej nowej znajomości. Całe lato spędziła w sąsiedztwie uprzejmej swojej kuzynki, zapoznała się wkrótce z innymi myszkami polnymi i bardzo jej tam było dobrze i wesoło. W letnich miesiącach miała poddostatkiem zboża, w jesieni było znów pełno żołądzi i orzechów w lesie, a po ogrodach mnóstwo smacznych owoców.

Ale nadeszła zima, pochłodziło strasznie na dworze, śnieg pokrył ziemię i biedna nasza myszka nie mogła nic znaleźć do jedzenia. Rodzina karłowatych myszek rozbiegła się i usadowiła po różnych zakątkach na zimę. Mateczka wynalazła sobie kryjówkę podziemną, gdzie prawie ciągle drzemała, młodziź, żwawsza i śmielsza, szukała schronienia w gumnach, a nawet i w mieszkaniach ludzkich. Znajoma nasza myszka domowa postanowiła powrócić do rodzinnej swej piwnicy.

Wybrała się więc pewnego rana, przebiegła znów tę samą drogę, którą kiedyś umykała przed drapieżnym kotem i drżąca od zimna, cała śniegiem przypruszona, zajrzała do okna piwnicy. Okno to było słomą zatkane na zimę, ale myszka jakoś się przez małą szparkę przecisnęła, a gdy dostała się nakońiec do środka, usłyszała ze wszystkich stron znane głosy swoich krewniaczek.

— Co tu się u was dzieje? — zapytała jednej myszki, która obok niej przebiegła — czego tak hałasujecie?

— Cóż to, nie wiesz — odrzekła tamta — że u nas teraz w całym domu niema ani jednego kota? Wyprawiamy z tego powodu wielką uroczystość, wszystkie myszy z sąsiedztwa są proszone, bo dziś my tu jesteśmy gospodyniami. Przybywasz więc w samą porę. Chodź ze mną, oto jest wyborny serek i dużo innych przysmaków: wszystko to nasze.



Tymczasem mnóstwo myszek schodziło się ze wszystkich stron, a każda gryzła coś w ząbkach: to rodzynek, to odrobinę sucharka, lub cukru. Zasiadły wszystkie naokoło dużego okrągłego sera. Czekano już tylko na przybycie jednej myszki powszechnie szanowanej, aby rozpocząć ucztę. Po chwili usłyszano szmer, oczekiwana myszka zbiegła z wysokiej beczki i zbliżyła się do towarzystwa; trzymała w zębach kawałeczek szynki. Powitano ją bardzo przyjaźnie, a nasza znajoma poskoczyła do niej z wielką radością:

— Mamo! jak się masz, mateczko! — zawołała, ale tamta cofnęła się i spojrzała ze zdziwieniem.

— Cóż to, nie poznajesz mnie mamó? — mówiła młoda myszka zafrasowana — ja jestem córeczka twoja, siostrzyczka tej małej, co utonęła w mleku, pamiętasz?

— Jakto! więc to ty jesteś, kochanko? —

zawołała mateczka uradowana. — Gdzieżeś ty była przez całe lato? Doprawdy, nigdy-bym cię nie poznała, tak się zmieniłaś!

Młoda myszka opowiedziała wszystkie swoje przygody, a matka rada, że powróciła szczęśliwie do domu, nie wylażała jej za nieposłuszeństwo; myszka, jak pamiętacie zapewne, bez pozwolenia wymknęła się była do ogrodu.

Po sutej wieczery, rozpoczęły się tańce, a potem wszystkie myszki, które latem odbywały wędrówki, opowiadały, co im się przytrafiło w drodze.

Jedna o mało nie utonęła, przechodząc przez strumyczek, inna napotkała kota, ale na szczęście zdążyła umknąć w dziurkę, zanim straszny zwierz zdołał ją łapą swoją dosięgnąć.

Inna znów chwaliła się, że jej się udało wymknąć z pułapki.

Nasza znajoma opowiadała, jak przyjem-



nie czas spędzała w towarzystwie kuzynki swej myszki karłowatej, jakie wyborne przysmaki zajadała w polu i w lesie.

Myszki słuchały z wielkiem zajęciem i niejedna już naprzód sobie układała, żeby na przyszłe lato wybrać się na wieś na kilka miesięcy.

---

## LISZKA I CHRABĄSZCZ.

---

Ranek piękny, pogodny, jasne słońeczko wiosenne zabłysło na błękitnem niebie. Zielone listeczki na drzewach wyglądają tak świeżo, muszą być bardzo smaczne!

Tak sobie myśli małą lizka i włazi na pień dużego dębu. Spieszy na śniadanie, bo jej głód bardzo dokucza.

Wczoraj wieczorem usnęła na liściu dębowym, ale w nocy silny wiatr się zerwał, zatrzęsł liśćmi gwałtownie i lizka spadła na trawkę. Teraz musi się znów wygramolić na drzewo, a to prawdziwa podróż dla niej.



Biedna liszka, zmęczona, zdyszana, zatrzymuje się kiedy niekiedy i odpoczywa. Podnosi główkę, ogląda się na prawo, na lewo i znów dalej dąży. Patrzy na śliczne, zielone listeczki i ślinkę łyka, pospiesza, jak może. Już wreszcie ma tuż przed sobą smakowity listeczek. Cóż to za rozkosz najeść się do syta po takiej uciążliwej podróży. Dawno już nasza liszka nie miała tak wybornego apetytu.

Ale cóż jej się stało? Cofa się nagle przerażona, bo spostrzega, że tam już ktoś inny usadowił się na tym ładnym zielonym listeczku.

A kto? zgadnijcie? Oto chrabąszcz!

Zbudził się nagle ze snu, gdy liszka poruszyła listeczkami i oczy sobie przeciera z kwaśną bardzo miną.

— Kto mnie przebudził tak rano? — pyta chrabąszcz i wnet spostrzega malutką liszkę, groźnie się w nią wpatrując.

— Cóż to za dokuczliwe stworzenie! — powiada — nikogo nie uszanuje, na nic nie zważa. Nie wyspałem się i zły jestem na cały dzień.

— Bardzo mi przykro, że panu sen przerywałam — rzekła liszka pokornie. — Gdybym była wcześniej pana spostrzegła, nie weszłabym pewnie na ten listek.

-- Spodziewam się — mruknął chrabąszcz, potrząsając głową wyniośle.

— Ale bo też pan-dziwny ma zwyczaj — mówiła liszka, troszkę już ośmielona — żeby się kłaść spać o tej porze, kiedy wszyscy wstają.

— To prawda — odparł chrabąszcz i odsunął się trochę w tył, bo promień słońca przedarł się przez liście i zajrzał mu w oczy — ale cóż, kiedy my mamy wzrok nadzwyczajnie wrażliwy na światło; dlatego też tylko po zachodzie słońca fruujemy, a w dzień chowamy się pośród liści.



Chrabąszcz ułagodził się zupełnie, a liszka coraz była śmielsza, przyglądała mu się ciekawie i rzekła:

— Jak to musi być przyjemnie mieć sześć długich, silnych łapek i takie pyszne skrzydełka! Pan zapewne często podróżuje w dalekie strony i nie męczy się nigdy. Ale proszę mi powiedzieć, jakim to sposobem się fruwa temi skrzydełkami?

— Nic łatwiejszego — odrzekł uprzejmie chrabąszcz — podnosząc najpierw te twarde, brunatne skrzydła, wydobywam z pod spodu drugie, prawdziwe, które tam są ukryte, jakby w pokrowcu.

Mówiąc to, rozwinął skrzydła i podleciał w powietrze, a liszka patrzyła na niego w zachwyceniu. Po chwili chrabąszcz powrócił.

— Nie martw się moja panienko — rzekł do liszki — że nie umiesz fruwać. Ja także nie zawsze miałem te wygodne skrzydełka. Któż wie, może i tobie kiedy urosną podobne.

— Co, naprawdę? — zawołała liszka z żywością. — Nigdy nie pomyślałam, żeby skrzydełka mogły tak wyrósć komu ni stąd, ni zowąd. Ale proszę mi opowiedzieć, jak to było.

— Długa to jest historia — rzekł chrabąszcz. — Teraz mi się spać chce i nie mam ochoty do rozmowy; ale wróć tu, moja panielko, wieczorem: jak sobie wypocznę, to ci wszystko ze szczegółami opowiem.

— Bardzo dziękuję — rzekła liszka — i nie przeszkadzam.

Mówiąc to, popęzła na inny listeczek, ale nie oddalała się od gałęzi, na której spał chrabąszcz, a jak tylko słońce zaszło, zbliżyła się do niego.

— No patrzcie, państwo — rzekł chrabąszcz, gdy przebudziwszy się ujrzał ją przy sobie — co to za ciekawska z tej małej liszki! Pewny jestem, żeś musiała cały dzień myśleć o tem, co ci powiedziałem.



— A tak, naprawdę — odrzekła liszka — siedziałam tu cały dzień w pobliżu, bo obawiałam się, abyś pan nie odleciał, jak się ściemni.

— Bądź spokojna — mówił chrabąszcz — ja mam dobrą pamięć i zawsze dotrzymuję przyrzeczenia. A potem, powiem szczerze, żeś mi się podobała i chcę ci przyjemność zrobić. Posłuchaj więc moich dziejów. Powiem ci najpierw, że nie znałem wcale mojej matki.

— To tak, jak i ja — przerwała liszka.

— Ale jeden robak ziemny, mój znajomy, opowiadał mi o niej; utrzymywał, że jestem zupełnie podobny do mojej mateczki. Biedaczka dawno już nie żyje: robak mówił, że na dwa dni przed zgonem złożyła w ziemi jajeczka. Dziwna rzecz! Powiadają, że wszystkie matki chrabąszczów giną tak samo, nim z jajek wyklują się dzieci, te są zawsze sierotami od samego urodzenia.

— Ja myślę, że i z liszkami dzieje się toż samo, bo żadna z moich znajomych nie знаła swojej mateczki — rzekła mała liszka z westchnieniem.

— Otóż nakoniec — mówił dalej chra-  
bąszcz — wydobyłem się z jednego z tych jajek, a była nas spora gromadka: ze dwunastu braciszków i tyleż siostrzyczek. Wyglądaliśmy zupełnie inaczej, niż dzisiaj, i ja i moje rodzeństwo. Każde z nas było malutkim robaczkiem białym, a wszyscy mieliśmy ogromny apetyt i pożeraliśmy żarłocznie korzonki wszelkich roślin, jakieśmy w ziemi napotkali. Wkrótce zabrakło nam pokarmu i musieliśmy się rozejść każde w swoją stronę, szukając nowych zapasów żywności.

Dzięki Bogu, nigdy nie zaznałem głodu, nie brakło mi wybornych korzonków, czy to zbożowych, czy warzywnych; obgryzałem nawet i korzenie drzew i krzewów rozmaitych, a wszystko mi smakowało. Rzadko



kiedy spotykałem się z braćmi i siostrami, a nawet, co prawda, wołałem się z nimi nie spotykać, bo zawsze mi smutne wieści przynosili o reszcie rodzeństwa. Wyobraź sobie, że drapieżny kret pożarł trzech najstarszych moich braci, a dwie siostry, wyrzucone na powierzchnię ziemi w czasie orania pola, pochwyił na jeden łyk czarny ptak, zwany krukiem. To straszna rzecz, jak wiele niebezpieczeństw zagraża nam w młodocianym wieku.

Ja jednak uchowałem się jakoś. Przez zimę siedziałem w ziemi, ażeby uniknąć mrozów i zalewów wodnych, które bardzo są niedobre dla zdrowia. Na wiosnę czułem się coraz silniejszym i apetyt miałem doskonały, a pod jesień urosłem znacznie, zawsze jednak wyglądałem, jak biały, spory robaczek.

Pewnego rana ogarnęło mię dziwne jakieś odrętwienie, nie mogłem nic jeść, ani się poruszyć z miejsca, sen mię zmorzył i wkrótce

usnąłem. Nie wiem, jak długo spałem, ale gdy się przebudziłem, mroźny wiatr już dmuchał, musiało być niedaleko do zimy. Co jednak jest najdziwniejsze, przebudziłem się w odmiennej całkiem postaci. Miałem skrzydełka, sześć łapek i te ładne oczki czarne, któremi na ciebie patrzę. Byłem prawie taki, jak dziś, ale skrzydełka moje wierzchnie miały barwę znacznie jaśniejszą. I znów całą zimę spędziłem w głębi ziemi, dopiero w tym roku, w maju, wyszedłem na świat Boży. Od tej pory bardzo wesoło czas spędzam, mam mnóstwo towarzyszy, a wieczorami zbieramy się i bawimy wspólnie. Zajadamy rozmaite liście, topolowe, wierzbowe, klonowe, najlepiej nam smakują dębowe, a i liście kasztanów są wyborne.

Ale zagadaliśmy się, a tam towarzysze muszą mnie wyglądać, bo mieliśmy się dziś zgromadzić w gaju nad strumykiem. Do wi-



dzenia moja panienko! Jutro pewnie się zobaczymy znowu.

A odlatując, chrabąszcz powiedział jeszcze sam do siebie:

— Szkoda, że ta liszka nie ma skrzydełek; malutka jest i bardzo mi się podobała. Gdyby umiała latać, zabrałbym ją z sobą i zabawiłaby się trochę.

## II.

Liszka nasza zaprzyjaźniła się z chrabąszczem na dobre. Widywali się codziennie rano i wieczór. Razu jednego chrabąszcz spostrzegł, że liszka jest jakaś nieswoja.

— Co to się stało panience? — zapytał strwożony. — Czyś tylko nie chora?

— Sama nie wiem, co mi jest — odrzekła liszka. — Główka mnie strasznie boli, nie mam apetytu. Ale może to przejdzie. Nie ro-

zumiem tylko, co mi się stało na grzbiecie? Coś tam jest nadzwyczajnego.

— Widzę już, widzę — mówił chrabąszcz, obejrzawszy zblizka grzbiecik liszki — skóreczka ci pękła przy samej główce. Ostrożnie, nie ruszaj się, bo dalej się rozedrze. A co, nie mówiłem!

W rzeczy samej skóreczka ta rozerwała się na całej długości grzbietu, a nasza liszka wyszła z niej ze skóreczką nową.

— Oto dopiero niespodzianka! — rzekł chrabąszcz i odsunął łapkami szczątki dawnej skóry małej przyjaciółki. — Zdaje się, że to już można wyrzucić, bo na co się ten pokrowiec przyda? Cóż, czy lepiej się teraz czujesz?

— Znacznie lepiej — rzekła liszka — ale wzruszona jestem bardzo i zmęczona.

— O, ja to dobrze rozumiem, bo sam taką przemianę kiedyś odbywałem. Gdybym tu nie był obecny przed chwilą, nie poznał-



bym cię w tej nowej skórze. Patrzno na mnie. No, oczki przynajmniej zostały ci też same. A teraz pokaż łapki, niech je policzę: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć; tak, masz sześć łapek prawdziwych od strony głowy, a teraz: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć łapek fałszywych od strony ogonka. Przypominam sobie, że nieraz widziałem liszki, które miały po dziesięć takich fałszywych łapek.

— Być może — odparła liszka — ja sama znam takie, które ich tylko cztery mają i tak zabawnie niemi chodzą.

— W młodości mojej, gdym był jeszcze białym robaczkiem, miałem jednak zawsze tylko sześć łapek i nie przypominam sobie, aby który z moich braciszków miał ich więcej. Ale dość już na dziś tej rozmowy, moja panienko. Odpocznij sobie dobrze, bo musisz być znużona i osłabiona, a ja lecę do moich towarzyszy, do gajku nad strumieniem.

Nasza liszka zrobiła się żarłoczną, zjadała

po kilka liści dębowych codziennie i szybko nabierała ciała. Wkrótce jednak, po drugiej zmianie skóry, chrabąszcz spostrzegł, że przyjaciółka jego straciła zwykłą swą żywość i apetyt, ledwo się mogła poruszyć.

— Teraz musisz być naprawdę chora — rzekł dobry chrabąszcz pewnego rana.

— Bardzo mi coś niedobrze — odpowiedziała liszka — od dwóch dni czuję się dziwnie osłabioną i sen mnie ciągle morzy.

— Musiałaś się zaziębić — mówił chrabąszcz — noce teraz bywają chłodne; trzeba się pilnować, moja panienko, bo zdrowie stracić łatwo, a trudniej daleko odzyskać.

— Ja to sama rozumiem — rzekła liszka — zdaje się, że odpoczynek będzie dla mnie najlepszym lekarstwem. Muszę sobie upatrzeć jakieś spokojne schronienie.

— Tak, tak, niezawodnie — rzekł chrabąszcz — tylko gdzieżby to znaleźć taki kącik?



— Ja myślę — mówiła liszka — że tu, na tym dębie będzie mi bardzo wygodnie; przytulę się do listeczka, i zaraz usnę, bo mi się oczy kleją coraz więcej.

— Tak to się zdaje — rzekł znów chrabąszcz — nie bardzo tu będzie wygodnie; wiatr może się zerwać w nocy i zrzucić cię na ziemię.

— Już ja się dobrze urządzę — odparła liszka — zagnę liść i cała się w niego obwinę.

— Tego, to już nie rozumiem — rzekł chrabąszcz zdziwiony. — Jakże ty potrafisz tak liść zwinąć, żeby się nie rozprostował.

— Ja i sama się temu dziwię — powiedziała liszka — ale mam na to sposób wyborny, o którym nie miałam przedtem wyobrażenia. Nieraz już dawniej zastanawiałam się nad tem, do czego może służyć ta mała dziureczka, którą mam na dolnej wardze. Otóż wczoraj z tej dziureczki wydobyłam... proszę zgadnąć, co takiego?

— Nie potrafię nigdy odgadnąć — rzekł chrabąszcz.

— Niteczkę, cieniuteńką niteczkę, którą zaczępię wybornie listeczek.

— Czy być może! — rzekł chrabąszcz zachwycony. — Chciałbym to na własne oczy obaczyć.

— Nic łatwiejszego — powiedziała liszka i przytknęła pyszczek do listeczka, potem go odjęła i wysnuła naprawdę niteczkę. Zagięła liść bardzo zręcznie, zaczępiła niteczkę u obu jego brzegów, spoiła go nakształt pokrowca i cała ukryła się w środku.

— Wybacz, moja panienko, że ci nie pomogłem w tej robocie — rzekł chrabąszcz — ale ja nie jestem bardzo zgrabny i obawiałem się, aby nie zepsuć tego arcydzieła. Teraz widzę, że masz bardzo wygodne łóżeczko; odpocznij-że sobie dobrze, nie przeszkadzam ci. Dobranoc!



— Dobranoc — szepnęła liszka na wpół sennie i tak się rozeszli.

Było to rano i chrabąszcz zwyczajem swoim poszedł się także przespać. Minał dzień cały, słońce powoli skryło się za wzgórze, musnąwszy ostatnim promieniem dąb stary, na który mspoczywała para przyjaciół: chrabąszcz i liszka. Wietrzyk wieczorny poruszył listeczki, a one lekko zaszeleściły i poszeptały między sobą.

Na zachodzie ukazało się kilka chmurek różowych; chrabąszcz przebudził się i przetarł oczy.

— Jaki prześliczny wieczór — rzekł. — Ciekawym, czy ta biedna liszka choć trochę zdrowsza; trzeba się od niej dowiedzieć — i przyfrunął do miejsca, gdzie mała jego przyjaciółka leżała w swojej kolebeczce.

— Czy śpisz jeszcze, panienczko? — zapytał, zagładając do niej ze współczuciem. —

Chodźno zobacz, jakie tam śliczne chmurki różowe płyną po niebie.

Ale nikt na to nie odpowiedział.

— Panienko, czy ty śpisz? — zawołał chrabąszcz głośniej trochę. — Zbudź się i spojrzij na te chmurki, doprawdy bardzo ładne.

Liszka milczała.

— No jeszcze nie widziałem, żeby kto tak twardo spał — rzekł chrabąszcz sam do siebie — musiała być okropnie zmęczona. Niech sobie odpocznie, ten sen ją pokrzepi i uzdrowi.

I pofrunął do swoich towarzyszy.

Nazajutrz o świcie znowu poczciwy chrabąszcz wołał raz po raz na liszkę:

— Wstawaj, panienko, wstawaj! Jakże to można tak długo spać?

Ale liszka nie słyszała i ciągle we śnie była pogrążona. Chrabąszcz odleciał zasmucony: niespokojny był bardzo o swoją przyjaciółkę. Przez kilka dni jeszcze powracał do niej rano i wieczór, próbował ją rozbu-



dzić, ale widząc, że leży ciągle martwa i bez ruchu, sądził, że już nie żyje. Tak mu to było przykro, że opuścił dąb, na którym oddawna mieszkał, i przeniósł się na inne drzewo; przyłączył się do innej gromadki chrabąszczów, a towarzysze starali się go rozerwać w strapieniu. Nie mógł jednak zapomnieć o liszce i we trzy tygodnie po owym dniu pamiętnym, gdy w obecności jego urządziła sobie kolebeczkę, znowu przyłeciał zobaczyć, co się z nią stało.

Już jest na gałęzi, gdzie po raz pierwszy spotkał się z tą miłą liszką; oto wiszą jeszcze resztki listeczka, który jedli razem. Chrabąszcz zbliża się do kolebeczki, wzruszony jest niezmiernie, zagląda... i widzi kolebeczkę próżną! W tejże samej chwili słyszy nad głową lekki szelest, jakby poruszenie skrzydełek.

— A czego to pan tu szuka? — odzywa się ładny motylek, siedzący na gałęzi; i zatrzepotał skrzydełkami żółtymi w czarne centki.

— Szukam mojej przyjaciółki — odrzecz  
chrabąszcz — była to młoda liszka bardzo  
przyjemna, rozmawialiśmy często z sobą, aż  
raz usnęła w kolebeczce, którą sobie z liścia  
uwiała, nie mogłem jej się dobudzić, a teraz  
znów znikła. Ach! cóżbym dał za to, żeby  
się dowiedzieć, co się z nią stało?

— Proszę bliżej — rzekł motylek z fi-  
glarną minką — mogę panu dać wiadomość  
o losie tej liszki, wiem napewno, że wczoraj  
wyszła ze swojej kolebeczki.

— Doprawdy! — zawołał chrabąszcz. —  
Ale gdzież ona jest? Jaby tak chciał się  
z nią zobaczyć!

— Ależ widzisz ją pan przed sobą.

— Nie widzę nigdzie — mówił chrabąszcz,  
ogładając się na wszystkie strony.

— Cha, cha, cha! Toż to ja jestem. Czy  
nie poznajesz pan mojego głosu?

— Co, tybyś miał być liszką, piękny mo-



tylku? — zawołał chrabąszcz zdumiony —  
ależ te ładne, kolorowe skrzydełka?

— Wyrosły mi podczas snu — rzekł motylek.

— Pyszny jesteś naprawdę, przyjacielu motylku — powiedział chrabąszcz — nigdy bym w tobie nie poznał kochanej mojej liszki. Spójrz na mnie... o! co za oczy! musisz niemi doskonale widzieć.

I mówiąc to, dotknął łapką delikatnych skrzydełek przyjaciela.

— Ohoho, tylko ostrożnie... bardzo proszę! — zawołał motylek przestraszony — patrz pan, co się stało, moja barwa, moja piękna barwa!

W rzeczy samej odrobina delikatnego pyłku ze skrzydełek motylka przylgnęła do łapek chrabąszcza.

— Co znowu! — zawołał chrabąszcz — ależ to strasznie nietrwałe są te twoje wdzięki, mój przyjacielu. Musisz się ciągle mieć na

ostrożności, O! patrz, o mało nie zaczepiłeś się o tę zeszlą gałązkę, a jakże ty będziesz się przeciskał pomiędzy liśćmi? Prawda, że ładne bardzo masz skrzydełka, ale ja wolę swoje, bo trwalsze i bezpieczniejsze. Czy już jesteś po śniadaniu? Możebyśmy razem podjedli tych listeczków. Tu na tej gałązce są wyborne. Czemu nie jesz? Ale co ja widzę? Toż ty nie masz pyszczka!.. a to co za wąsik zakręcony siedzi ci pod oczkami?

— Ba! Ja sam się temu wydziwić nie mogę — rzekł motylek — nie jadam teraz wcale liści, a jednak głód mi nie dokucza. Pofruniemy na łąkę, czy zgoda? Tam dopiero pokażę ci, co umiem.

I pofrunęli obaj.

— Jak leciutko lata mój przyjaciel — mówił chrabąszcz sam do siebie, zdążając za motylkiem. — Ale gdzie on się podział? Nie mogę go dojrzeć... Aha, usiadł na kwiateczku.

— Przypatrz-że się teraz, do czego służy



ten wąsik mój zakręcony — rzekł motylek. — To jest taka trąbka; jak mi się jeść chce, rozwijam ją, zapuszczam w głąb kwiatu i wysysam sok słodziutki. Jakie to smaczne, ten miodek kwiatowy!

— Patrzcie go! — zawołał chrabąszcz — a to dopiero łakomiec, miodu mu się zachciewa, jak pszczołkom! A nie jadłbyś to pocziwie listeczków zielonych? Poco to być takim wybrednym?

— Ba! Ty nie masz wyobrażenia, przyjacielu, jakie to wyborne; co za słodycz, co za aromat! Poczekaj jeszcze, muszę tego kwiateczka różowego pokosztować; delicye, powiadam ci, delicye! Niema to, jak być motylkiem! Co to za szczęśliwe życie, od rana do nocy przelatywać z kwiatka na kwiatek, karmić się samą słodyczą i gwarzyć wesoło z różnymi miłymi owadami. Ale czegoż się tak ociągasz? Leć-że prędzej.

— Nie mogę zdążyć za tobą, przyjacielu —

*Simon Simonovus po*

— 136 —

rzekł chrabąszcz — tchu mi zabrakło. Lataj ty sobie sam, a ja powracam do domu, bo i sen mnie zmorzył.

— Do widzenia! — wołał motylek, podlatując wyżej — muszę też oznajmić wszystkim liszkom, jakie napotkam po drodze, że z czasem niezawodnie przemienią się w motylki. Otóż się ucieszą! Do widzenia, przyjacielu! Wieczorem zobaczymy się na naszym dębie. Opowiem ci wszystko, co tu zobaczę ciekawego przez cały dzień.

*Koniec*



## JASKÓŁKI.

---

Bim, bam! bim, bam!

Tak mówi dzwon, zawieszony wysoko na starej dzwonnicy kościelnej.

Na ten odgłos, mama jaskółka, siedząca na jawkach w gniazdeczku, ulepionem przy oknie dzwonnicy, zaczęła się kręcić niespokojnie, bo jedno z piskląt w tej chwili właśnie wydobywało się ze skorupki.

— Cóż to za hałas! — mówiła jaskółka zafrasowana. — A biedny ten malec w takiej chwili właśnie na świat przychodzi! Gotów ogłuchnąć nieboraczek na całe życie.

Reszta piskłał, wcześniej wykłuty, przytuliła się na samym spodzie gniazdka, żadne się ruszyć nie śmiało z wielkiego przestachu. Bo też odgłos dzwonów był naprawdę przerażający. Cała dzwonnica drżała od posad do szczytu.

— Toż kłopot prawdziwy — odezwał się ojciec — ale samaś sobie winna, moja duszko; gdybyś była usłuchała dobrych rad pocziwej naszej cioci, nie byłabyś tu budowała gniazdka. Ptaszki naszego rodu rzadko kiedy gnieźdzą się na takich wyżynach. Tylko pokrewne nam jerzyki lubią sadowić się wysoko, ale pocóż je mamy naśladować?

— Ciocia wie swoje, a ja swoje — odrzekła mama jaskółka, trochę urażona — wolno jej lepić swoje gniazdko w stodole, nie przeszkadzam jej wcale, ale ja lubię rozrywkę i piękne widoki, a tu właśnie jest widok wspaniały. Bardzo mi tu wesoło, i teraz nawet, siedząc tak długo na jajkach,



nie nudziłam się wcale, a to mi i na zdrowie posłużyło.

Nakoniec dzwony przycichły. Małe jaskółeczki zaczęły podnosić główki i rozdziawiać dzióbki, upominając się o jedzenie.

— Patrzcie państwo! już jeść proszą — mówiła jaskółka — te dzieci są nienasycone. Cicho, cicho, żarłoki małe. Pewnie wam się zachciało znowu mięciutkich muszek? Poczekajcie troszkę: przecież każde z was zjadło już dziś z tuzin przynajmniej tych smacznych muszek. Tato jest zmęczony, a ja muszę się zająć małym waszym braciszkiem, który z jajka się wydobywa. Niebożatko takie jest wątłe i mizerne! Patrzno, męzulku, nie może nawet łapką poruszyć.

Ale pisklęta nie troszczą się wcale o małego braciszka, krzyczą w niebogłosy, napierają się jeść, tato rad nie rad musi lecieć po muszki. Oto już powraca. Cztery dzióbki otwarte wyciągają się ku niemu. Jeden ma-

lec dostał muszkę, zamknął oczki z wielkiej radości, reszta krzyczy jeszcze głośniej, a gdy tatko powraca z nową zdobyczą, i tamten wrzeszczy wraz z innymi.

Chwałaż Bogu, cała gromadka już nasyciona! Tatko musi i sam pożywić się trochę, a mama wypocznie przecież choć chwilę. Biedna mama! ledwo oczy przymknęła, już jeden z malców krzyczy przeraźliwie:

— Kole, mamuniu, kole! — i szturcha skrzydełkami śpiące rodzeństwo.

— Cicho, moje dziecko, cicho! — mówi mateczka — pobudzisz braciszków.

Malec umilkł, ale po chwili znów woła:

— Kole, mamuniu, okropnie kole w brzuszku!

I nic dziwnego, że go kłuło: mama obejrzała starannie gniazdo i spostrzegła w niem parę skorupki z jajka, z którego wyszło najmłodsze pisklątko. Zapomniała je wyrzucić, przeraźliwy dźwięk dzwonów był zapewne



przyczyną tego roztargnienia. Nakoniec wszystko się uciszyło, noc zapadła, jaskółki przespały się trochę, ale jeszcze przededniem piskłeta znów krzyżeć zaczynają i napierają się śniadania, a tatko musi je zabawiać świegotaniem. Pomimo tych wszystkich kłopotów, para jaskółek, tatko i mama, są uszczęśliwieni widokiem swoich piskląt. Z dumą na nie spoglądają, bo też mają się czem pysznić. Czwooro dziątek! dwóch synków i dwie córeczki, czyż to nie jest prawdziwe błogosławieństwo Boże?

Tatko usiadł na gzymsie i spoglądając na rodzinę, cieszy się swoim szczęściem domowym. Ma dobrą żoneczkę, łagodną, pracowitą, kochającą, dzieci ładne i zdrowe. Dzieci te mają wprawdzie swoje wady, ale któż jest bez wady? Już dzięki Bogu zaczynają w piórka porastać, pora im ponadawać imiona.

— Dla młodszej mojej córeczki mam już imię gotowe — myśli sobie — nazwę ją

Świegotką. Nie znam jaskółki, któraby tak młodo, jak ona, śpiewać zaczęła. Czasem mi się zdaje naprawdę, że ta mała musiała już śpiewać w jajku.

Wtem hałas dochodzi go z gniazdeczka, bo dziatwa jakieś spory i sprzeczki rozpoczęła, najmłodsze pisklę krzyczy w niebogłoso.

— Otóż to tak ciągle z tą nieznośną małą — mówi matka zniecierpliwiona, spoglądając na starszą córeczkę — to istna przekora, chwili spokoju nie daje biednym braciszkom. Oto i teraz wlała temu malcowi na grzbiecik i pazurek mu wpakowała w oczko.

— Wstydz się! — rzecze ojciec rozgniewany — poczekaj, mam już i dla ciebie imię stosowne, będziesz się nazywała Przekorka. A ty, mój grubasiku — dodaje, zwracając się do starszego synka — nie znam jeszcze dobrze twoich skłonności; widzę tylko, że masz dzióbek bardzo króciutki, dla ciebie najlepsze imię będzie Krótkodzióbek.



Najmłodszy synek, drobny i szczuplutki, otrzymał już przedtem od mamy imię Zdziebełka.

## II.

Nasze jaskółki mają gości często. Znajomi tatki i mamy przychodzą ich odwiedzać i dowiadywać się o zdrowie Zdziebełka, bo malec jest chorowity i rodzice zrazu lękali się o niego; sądzili, że się nie wychowa. Kiedyniekiedy przylatuje dziadunio, a zawsze przynosi dzieciom przysmaki w dzióbku: to muszki, to liszki, to małe motylki.

W gniazdeczku jaskółek radość jest wielka, gdy przyleci dziadunio. Świegotka śpiewa mu zaraz najładniejszą piosenkę. Zdziebełko wyłazi na główkę braciszka lub siostrzyczki i chwali się, że urósł znacznie, a Krótkodzióbek nie może się napatrzeć na dziadzię, który mu się wydaje bardzo piękny.

— Mamo — pyta cichutko — czy i ja będę miał kiedyś takie duże skrzydła i taki słiczny grzbiecik granatowy, jak dziadzio?

— Zapewne — odpowiada mama.

Nasze pisklątka rosną pędkiem i siłą nabierają. Dziadunio mówi, że mogłyby się już uczyć latać. Dzieci to usłyszały i nieraz, gdy rodzice odlecą i polują na muchy, one rozmawiają o przyszłych swoich podróżach.

— Już to z was wszystkich najprędzej pewnie nauczę się latać — powiada Przekorka — bo jestem najstarsza. Zobaczycie, że niezadługo polecę na dach tego budynku, gdzie wielki zwierz mieszka.

— On się nazywa konik — mówi Świągotka.

— Tak, tak, konik — rzecze Przekorka — chciałabym go zblizka obaczyć! Mama mówiła, że on nie ma wcale dzioba i cały jest włosami obrośnięty. Jak to musi śmiesznie wyglądać taki zwierz bez dzioba! Wyobraź-





W tem, hałas dochodzi go z gniazdeczka

BIBLIOTEKA  
BN  
WODZKA



cie sobie, do czego byśmy byli podobni, gdy byśmy dzióbków nie mieli!

Na te słowa cztery małe jaskółeczki wybuchły głośnym śmiechem.

— A ja — rzekł Krótkodzióbek — bardzobym chciał zobaczyć zblizka człowieka. Tato mówi, że człowiek ma po samym środku twarzy coś podobnego do naszego dzioba i to się nazywa nos.

— To musi być zabawne! — mówi Swiegotka — podobno człowiek jeździ na koniu, nie lubi much, ciągle się od nich opędza.

— Nie może być! — wołają inni.

Podobne rozmowy powtarzały się często, aż dnia pewnego rodzice zapowiedzieli dzieciom, że zaczną się uczyć latać.

Wielkaż to była radość dla naszych piskląt, gdy tato ustawił je rzędem na samym brzegu gniazdka. Ale cóż się stało? Zdziebełko wskoczył znowu do gniazdka i nie chce z niego wychodzić. Ptaszeczek popa-

trzał w dół, w ulicę, i zobaczył, jak tam strasznie głęboko.

— Ja nie chcę latać! — woła przestraszony — nie będę nigdy latał, nigdy!

— Ależ nie możesz wiecznie w gniazdku siedzieć — powiada mama — musisz sobie kiedyś sam muszek nałapać, a w jesieni odlecimy razem do cieplejszych krajów, nie zostaniesz tu przecież sam jeden.

— Świegotka taka dobra, ona ze mną zostanie, będzie mi łapała muszki — mówi Zdziebelko.

— Muszek niema w zimie — rzecze mama.

— Ona dobrze poszuka, to pewnie znajdzie.

I Zdziebelko przytulił się na samym dnie gniazdką; siedział tak cały tydzień, ani rozkazy ojca, ani łagodne słowa matki nie mogły go przekonać i trwogi jego przezwyciężyć.

Pewnego rana dobra Świegotka przyniosła mu raz po raz kilka ogromnych much,



nadzwyczaj smacznych. Siostrzyczka opowiedziała mu, że złapała te muchy nad wodą.

— Gdybyś ty wiedział, jak tam ślicznie na sadzawce! Mnóstwo małych rybek jest w wodzie, łabędzie pływają, kąpałam się niedawno, to tak przyjemnie.

— To doprawdy musi być bardzo ładne — rzekł Zdziebelko — a te muszki są przewyborne... ale cóż, kiedy dzwonnica tak okropnie wysoka, a tam tak głęboko...

— Sam nie wiesz, czego się boisz — mówiła Swiegotka. — Gdybyś tylko raz jeden spróbował, zobaczyłbyś, jaka to pyszna rzecz jest fruwanie. Wiesz co, nikogo niema w gniazdku, tylko nas dwoje, nikt o tem wiedzieć nie będzie, spróbuj.

Zdziebelko dał się wkońcu namówić. Usiadł na brzegu gniazdka, rozwinął skrzydełka: raz, drugi, trzeci! Już, już ma podlecieć, i znów przysiada, nie może się odważyć, pazurki jego wpiły się w brzeg gniazdka.

— No, no, cierpliwości — powiada Świegotka, śmiejąc się — jakoś to będzie.

Przysiadła tuż przy nim, zanuciła piosenkę i niby niechcący popchnęła go skrzydełkiem, a biedny Zdziebelko rad nie rad zawiał w powietrzu. Serduszko mu bije, jak młotem, co chwila mu się zdaje, że spadnie w przepaść. Ale trzyma się jakoś, porusza skrzydełkami, fruwa już naprawdę i po chwili siada na sąsiednim dachu. O! Jakże to miło odpocząć po takich trudach! A Świegotka zachodzi się od śmiechu na dzwonnicy, wkrótce jednak przylatuje do niego i siada także na dachu.

— Ach! Ty niepoczciwa siostrzyczko — rzece Zdziebelko, na wpół żartem, a na wpół z gniewem — a coby było, gdybym był spadł na ulicę, gdyby mnie kot był pożarł?

— Jabym zapłakała,  
Trzy łezki wylała.



A potem śpiewałabym codziennie piosenkę  
na twoją pamiątkę :

Zdziebelko malutki  
Miał tu żywot krótki;  
Braciszek mój drogi,  
Pożarł go kot srogi;  
Trzy łezki wylewam,  
Żałobę przywdziewam.

— Niedobra jesteś — mówi Zdziebelkó  
nadąsany — trzy łezki byś tylko wylała po  
mojej śmierci! Gdyby ciebie kot pożarł, to  
jabym wszystkie łzy wypłakał, nie mógłbym  
się nigdy pocieszyć.

— Ależ ja tak tylko żartowałam bra-  
ciszku — odpowiada Swiegotka — no, nie  
gniewaj się i wracajmy do gniazdka!

Zdziebelko nie gniewał się wcale, bo się  
przekonał, że i on fruwać potrafi, a na drugi  
dzień taki już był odważny, jak braciszki  
i siostrzyczki, puszczał się z niemi na dale-

kie wycieczki. Ale na polowaniu nie miał jakoś szczęścia, nigdy mu się nie udało pochwycić żadnego owadka. Bo też to nie łatwa rzecz pochwycić muchę w lot: trzeba umieć w samą porę dzióbek otworzyć, a Zdziebełko zawsze go otwiera zapóźno. Zawsze też, gdy zrobi dzióbkiem chap! zdaje mu się, że pochwycił muszkę, ona bokiem odlatuje, a on powraca do gniazdka jak niepyszny.

— A to co! — zawołała mama, widząc w dzióbku jego skrzydełko motylka — raz przecież ci się powiodło.

— Gdzietam — odpowiedział Zdziebełko zasmucony — jedno tylko skrzydełko złapałem, a motylek uciekł.

— Biedne dziecko! — rzekła mama i na pocieszenie przyniosła mu parę muszek.



III.

Nasze jaskółeczki rosną zdrowo. Już teraz wybornie dają sobie radę same, fruują tak doskonale, jak i rodzice, codziennie odbywają dalekie wycieczki. Spełniły się najgorętsze ich życzenia, poznały świat, odkryły w nim mnóstwo rzeczy ciekawych i coraz nowych nabywają wiadomości. Zdziwiły się niezmiernie, a nawet przestraszyły trochę, gdy się dowiedziały, że większe ptaki pożerają mniejsze. Gdyby nie to, myślały sobie, świat byłby bardzo piękny.

Trudno sobie wyobrazić miłszą ptaszynę od Swiegotki. Żywa, wesoła, śpiewa przez cały dzień, od rana do nocy. O wschodzie słońca rozpoczyna piosenki jedną po drugiej, a pamięta doskonale wszystkie, których ją matka wyuczyła: kołysanki do usypiania piskląt, różne piosenki o gorących krajach, o czarnych ludziach i muszkach złocistych.

Wymyśla także i sama nowe ładne śpiewki, nuci o pogodzie, o błękitnem niebie, o chmurkach różowych i wielu innych rzeczach. Czasem znów wystawia swoje wdzięki:

Swiegotka ma oczki czarne,  
Czarne oczki ma figlarne,  
Długie skrzydła, dzióbek krótki,  
Głosik śpiewny i milutki;  
Śliczna, śliczna jaskółeczka,  
Śliczna, śliczna Swiegoteczka.

Czasem Przekorka siada na samym szczycie dzwonnicy i przerywa piosenkę siostrzyczki, wołając na cały głos:

Nieładna Świegotka, nieładna,  
A i śpiewaczka z niej żadna.

Swiegotka nic na to nie odpowiada, bo nie lubi sprzeczeki, rozwija skrzydełka i fruwa wesoło, migając jak strzała w powietrzu.

Dziś jest niedziela; wszystkie jaskółki wy-



brały się na daleką wycieczkę, bo nie lubią odgłosu dzwonu, który je ogłusza. Powróciwszy, zatrzymują się na chwilę przy otwartym oknie kościelnem. W kościele jest mnóstwo dzieci, stoją rzędem, chłopcy po jednej stronie, dziewczynki po drugiej i wszystkie chórem śpiewają.

— Co to takiego? — pyta Krótkodzióbek.

— Śpiewają — rzecze Przekorka — ale nie umieją tak ładnie śpiewać, jak my.

— Ba! Cóż dziwnego — rzecze Święgotka i zaraz zaczyna nucić najpiękniejszą piosenkę, a siostrzyczka i braciszki jej wtórują; usłyszały je dzieci, śpiewające w kościele i jedno po drugim popodnosiły główki, spoglądając na ptaszęta. Głosy dzieci i głosy ptasząt wybornie się z sobą zgadzały i razem rozplywały się w powietrzu, razem się wznosiły ku niebu.

Ucichł śpiew w kościele i ptaszęta ucichły.

Zdziebelko zajął ciekawie przez okno, zobaczył coś bardzo ciekawego i skinął na siostrzyczki i na braciszka, żeby także patrzyli.

Ksiądz wyszedł na ambonę i zaczął mówić do dzieci, a one słuchały w milczeniu i z wielkim uszanowaniem. Potem wszystkie uklęknęły i powtarzały coś półgłosem za kapłanem.

Nasze jaskółeczki nie rozumieją dobrze, co to wszystko znaczy, przysłuchują się jednak bardzo uważnie.

— »I daj nam chleba naszego powszedniego« — mówi kapłan, a przytem wznosi ręce i oczy w górę.

— Czy słyszycie? — rzece Zdziebelko — do kogo on mówi? któż im daje chleba? Nie rozumiem, jak można się żywić chlebem, kiedy owady daleko są smaczniejsze. Ale ludzie podobno owadów nie jedzą.



Ciekawy jestem tylko, kogo to oni proszą o chleb?

— Zapytajmy mamy — powiada Swiegotka i ptaszki lecą do gniazda; tu wszystkie razem zaczynają opowiadać, tak, że mama nie może zrazu odgadnąć, o co im idzie, wkońcu jednak zrozumiała wszystko.

— Chcecie wiedzieć, moje dzieci, do kogo ludzie mówią w kościele? — rzekła jaskółka matka.

— A tak, mamuniu — odzywa się Zdziebelko — tam w górze nie było nikogo, a oni wznosili ręce i przemawiali tak pięknie, i dziękowali, i prosili.

— Oni przemawiali do Tego, którego nikt widzieć nie może — mówiła matka. — A jednak On widzi wszystko i o każdym stworzeniu pamięta: daje chleb ludziom, trawę konikom i krówkom, orzechy wieiórkom, owady jaskółkom. Ludzie niedzięk Mu poświęcili i dnia tego zgromadzają się

w kościele, dziękują Mu za wszystkie dobrodziejstwa i śpiewają pieśni na cześć Jego.

— To pewnie Pan Bóg, mateczko — rzekł Krótkodzióbek — bo tam w kościele kilka razy to imię powtarzano.

— Tak, moje dzieci, Pan Bóg. Jaskółeczki także o Nim wiedzieć powinny i kochać Go i dziękować Mu za wszystko.

Roztropna Świegotka nie zapomniała o tem, co mama opowiadała, i nazajutrz raniutko w piosence porannej dziękowała Bogu za wszystkie dobre rzeczy, które daje jaskółczkom i śpiewała:

Owadów powszednich, o Panie,  
Daj jaskółczkom na śniadanie!

A potem dodała ciszej: — Ale dla mnie, Panie Boże, ześlij jak najwięcej tych dużych, bo je najlepiej lubię.

Cóż to się dzieje u naszych jaskółczek?



Mama od dwóch dni nie wychodzi z gniaz-  
dka, a młódzież nocuje na dzwonnicy. Czy  
nie chora mateczka? O nie, ale dzieci po-  
wtarzają sobie do ucha wielką nowinę.  
Wkrótce będą miały maleńkiego braciszka,  
a może i kilkoro rodzeństwa. Tatko im po-  
wiedział.

Mama wygrzewa w gniazdeczku śliczne  
jajeczko nakrapiane, tatko jej jeść przynosi.  
Wkrótce do tego pierwszego jajka przybywa  
jeszcze trzy. Młode jaskółeczki zawczasu już  
postanawiają sobie opiekować się troskliwie  
tem młodszem rodzeństwem. Jest ich czworo,  
każde nowonarodzone pisklątko będzie więc  
miało osobnego opiekuna.

Po dniach dwunastu drobiazg wychodzi  
z jajek; ale nasze ptaszęta zdziwione są bar-  
dzo widokiem malutkich braciszków i sio-  
strzyczek.

— Wcale nie są ładni — mówi Prze-

korka, krzywiąc się — wątpię bardzo, żeby to wyrosło na coś podobnego do nas.

Mama jednak upewnia, że i one wszystkie były takie same zaraz po przyjściu na świat. Małe pisklątka prędko porosły w pierze, chowały się zdrowo, bo też to było wśród lata, w najpiękniejszej porze roku. Starsze siostrzyczki i bracia dopomagali rodzicom w żywieniu i pielęgnowaniu tego maleństwa. Zdziebełko nie zapomniał dotąd figla, jakiego mu wypłatała Swiegotka i użył takiegoż samego podstępu, aby nauczyć latać jedną z malutkich swych siostrzyczek.

#### IV.

Jesień! jesień się zbliża! Dni już krótkie, noce chłodne, a owadów coraz mniej na świecie. Rodzice zapowiadają dzieciom, że niezadługo trzeba będzie się wybierać w daleką podróż. Niespokojni są trochę o młod-



sze pisklęta: one jeszcze tak mało mają doświadczenia; myślą także i o Zdziebelku, który jest dotąd szczupły i wątły.

Jeśli będzie piękna pogoda przez cały czas podróży, to wszystko pójdzie dobrze, ale gdyby ich burza, broń Boże, zaskoczyła na morzu, to mogą być w wielkiem niebezpieczeństwie. Biedna mama wzdycha i zamysła się teraz często.

Co to za głosy odzywają się w powietrzu? To dziadunio i babunia dają znać, że już pora wyruszać w drogę. Ze wszystkich stron przelatują gromadki jaskółek i nasza znajoma rodzina wybiera się jak może najspieszniej.

— No, dzieci — powiada mama z rozrzewnieniem — pożegnajcież gniazdko, starą dzwonnice, hałaśliwe dzwony. Ale nie — dodaje po chwili — ja się nie żegnam z tem wszystkim, bo jeśli Bóg pozwoli, wrócimy tu na przyszłą wiosnę. Zimą spędzimy w ob-

cych krajach, ale tu jest prawdziwa nasza ojczyzna. W Afryce nigdy nie urządzamy gniazd, musimy tam tylko się chronić w czasie mrozów, bo nam tu brakuje pożywienia.

Zdziebelko jest bardzo wzruszony, zabrał piórko z gniazdeczka na pamiątkę, gdyby mógł, zabrałby i gniazdko.

Jaskółki siadają gromadnie na dachach, na drutach telegraficznych, co chwila nadciągają nowe gromadki, jest ich tam pewnie kilkaset; wszystkie gwarzą, radzą, wyglądają nowych przybyszów aż do wieczora. O zachodzie słońca, na dane hasło, wszystkie razem wznoszą się w górę, puszczają się w drogę.

Do widzenia, jaskółeczki!

---

Mówiono nam, że jaskółki dość szczęśliwie odbyły podróż. Jednakże nie obeszło



się bez smutnych wypadków. Zdziebelko i jedna z młodszych siostrzyczek nie mieli siły dolecieć do wybrzeży afrykańskich. Osłabione biedactwa wpadły w morze, ciała ich przez czas jakiś kołysały się na powierzchni fal; potem znikły, poszły na dno, gdzie też pozostały.

---

Następnego roku, na wiosnę, tam daleko, w gorącej Afryce, mały murzynek stał z matką w gajku palmowym.

— Mateczko — rzekł malec, wskazując na drzewa — czy widzisz, jak jaskółki się zbierają? Pewnie już odlatują.

W rzeczy samej liczna gromadka jaskółek zebrana była w gajku, a na jednym drzewie palmowym usadowiła się znajoma nasza rodzina. Mateczka wygląda bardzo uradowana. A wiecie dlaczego? Bo dziś

jest wielkie święto rodzinne: odbywa się wesele wszystkich młodych jaskółeczek. Sędziwy dziadunio zakończył właśnie mowę przedślubną.

— Niezadługo moje dzieci, powrócicie do ojczyzny, będziecie budowały gniazdka i hodowały nowe pokolenia jaskółek, tak jak czynili wasi rodzice.

Krótkodzióbek słucha z wielkiem uszanowaniem i odwraca się do młodej swojej żoneczki:

— Czy uważałaś, co mówił dziadunio? Czy potrafisz ładnie gniazdko budować? O, niezawodnie, a ja ci dopomogę, żoneczko.

Ale żoneczka czem innem jest zajęta w tej chwili: gładzi starannie piórka rdzawe na gardziołku, bo się zanadto nastroszyły w czasie obrzędów weselnych.

Przekorka jest trochę zasmucona, bo musi się niezadługo rozstać z rodzicami. Mężulek



jej mieszka nad brzegiem Sanu i będzie musiała, powróciwszy do Europy, udać się za nim do Galicyi.

Uroczystości trwały aż do wieczora; śpiewano różne piosenki afrykańskie, zajądano owady zwrotnikowe, potem wszystko się uciszyło. Nazajutrz raniutko mały murzynek darmo gonił oczyma za jaskółkami: odleciały o zachodzie słońca.

Czy chcecie wiedzieć, co się stało z Świegotką? Dobra ptaszyna nie chciała odstąpić rodziców, teraz właśnie buduje gniazdko na dzwonnicy, naprzeciw matczynego. Deszcz padał w nocy, znalazła więc trochę wilgotnej ziemi, rozrobiła ją lepiej jeszcze swoją śliną, mężulek jej dopomaga i robota idzie żwawo.

— No, teraz odpocznijmy trochę — mówi Świegotka — bośmy się już dobrze dziś napracowali. Siadaj tu koło mnie, mężulku, ja ci zaśpiewam ładną piosenkę.

I śpiewa, jak następuje :

Lepi gniazdko jaskółeczka,  
W gniazdku złoży wnet jajeczka,  
I piskłeta wyhoduje,  
A wciąż sobie przyśpiewuje.

---



## SĘDZIWA SOSNA.

---

Na wysokiem wzgórzu rosła wspaniała sosna. A była taka sędziwa, że zupełnie pamięć straciła i nie mogła sobie przypomnieć, ile lat miała. Pomimo starości swojej, trzymała się jeszcze prosto i gęsto była pokryta ciemnozielonemi igłami, które nigdy na zimę nie opadały, co zresztą jest u wszystkich sosen we zwyczajn. Krzepka ta staruszka, widząc pobliską dębinę ogołoconą z liści przez całą zimę, myślała sobie, że ród sosen jest daleko szczęśliwszy. Wszystkie jej rówieniczki, towarzyski lat młodych, od dawna już nie żyły, ona jedna doczekała tak sędzi-

wego wieku i cieszyła się widokiem licznej rodziny, bo prawie wszystkie młodsze sosny, które ją otaczały, były jej dziećmi i wnukami.

Przez całe życie sosna ta wydała mnóstwo szyszek. Szyszki są to kolebeczki, w których sosny piastują swoje dzieci, w każdej łusce mieści się malutka sosenka. Dzieciny te mają skrzydełka i jak tylko troszeczkę podrosną, zaraz dobywają się z kolebeczki, żegnają swoją mamę i lecą w świat Boży, za powiewem wiatru. Gdy skrzydlate nasionko padnie na ziemię, zaraz się w niej zagrzebuje i później wychodzi z ziemi malutka sosenka. Wszystkie sosny w borze tym sposobem wyrosły.

Sędziwa sosna szczęśliwe dni pędziła w gronie ukochanej dziatwy, a miała szczególne przywiązanie do jednej młodej sosenki, która tuż przy niej rosła i miała już ze trzy stopy wysokości. Mateczka patrzyła na nią z wielką czułością i cieszyła się każdą



nową gałązką, która na jej ramionach wyrastała.

Latem osłaniała córeczkę od palących promieni słońca, zimą zatrzymywała śnieg na swych barkach, ażeby nie przygniółł wątlej młodej sosenki. Opowiadała jej ładne bajeczki o tem, co wrony gadają, gdy obsiadą szczyty sosen, o małym wilczku, który nie słuchał matki i zabłądził w lesie, o starym niedźwiedziu, co sobie nogę złamał, wpadając w jamę. Sosenka była ciekawa, jak wszystkie dzieci, co chwila o coś pytała.

— Mateczko — mówiła dnia jednego — co się stało z moją starszą siostrą, którą to cieśle zrąbali zeszłej zimy?

— Nie wiem — odpowiedziała matka — miała pień bardzo piękny i prosty, musieli z niej zrobić słup lub belkę do jakiej budowli.

— A z gałązkami co zrobili? — pytała znów sosenka.

— Musieli z nich porobić kije do mioteł i do różnych narzędzi rolniczych.

— A czy ze mnie także będzie słup i kije do mioteł? — mówiła sosenka.

— Nie wiem, jak długo pożyjesz — odpowiedziała staruszka. — Jeżeli zginiesz młodo, wyjdiesz może na tykę do podpierania fasoli, albo na kołek w płocie.

Sosenka umilkła. Rozmyślała o tem wszystkim, co matka mówiła. Wolałaby była wyrósć na piękną belkę, a nie miała najmniejszej ochoty zostać tyką lub kolkiem w płocie.

Dnia pewnego, w grudniu, cieśla przechodził tamtędy i zatrzymał się obok starej sosny.

— O, co za piękne drzewo! — zawołał. Ale widzę tu małą sosenkę, taką właśnie, jakiej mi potrzeba. Państwo kazali przywieźć z lasu ładną choinkę na Boże Narodzenie; ładniejszej już chyba nie znajdę w całym borze. Ale nie będę jej ścinał, wolę ją wyjąć z korzeniem. Państwo będą mogli potem



młode drzewko zasadzić na murawie przed domem.

I mówiąc to, cieśla zabrał się zaraz do roboty. Wykopał sosenkę motyką, obciął jej przytem niechący parę drobniejszych korzonków, wyjął ją z ziemi i położył na wozie. Wszystko to stało się tak szybko, że nasza sosenka nie miała nawet czasu pożegnać się z mateczką. Tak ją mocno zabolalo w korzonkach, że straciła przytomność.

Gdy przyszła znów do siebie, ujrzała się w obcym miejscu, w pokoju; korzenie jej zasadzone były w dużym kubie, napełnionym ziemią, jakaś pani ją polewała i woda orzeźwiła zupełnie naszą sosenkę. Weszło jeszcze parę innych pań do pokoju i zaczęły uwiązywać na gałązkach sosenki ładne małe świeczki.

— Szczególna rzecz! — pomyślała sobie — mateczka mówiła, że jak urosnę, będę miała szyszki na gałązkach, nigdy nie wspominała o świeczkach.

Ale jakież było jej zdziwienie, gdy do świeczek przybyło mnóstwo innych rzeczy: jabłuszka rumiane, złocone orzechy, cukierki, wreszcie różne zabawki, a między innymi duży pajac, który tak okropnie się skrzywił, że sosenka cała się wstrzęsła ze strachu.

Wieczorem zapalono wszystkie świeczki, gromadka dziatwy wtargnęła do pokoju i nappełniła go wesołymi odgłosami, płasząc około ładnej choinki.

Młoda sosenka dumna była bardzo ze swojego stroju i żałowała, że nie może się pokazać siostrzyczkom w borze w całej tej paradzie.

— Tożby dopiero się dziwiły — myślała sobie — a mateczka jakby się ucieszyła, gdyby mogła widzieć, jak ja prześlicznie teraz wyglądam! Troszkę mnie jeszcze korzonki bołą, ale to pewnie przejdzie i bardzo mi tu będzie wygodnie. Tylko nie wiem, dlaczego te świeczki ciągle się zmniejszają...



Oho! jedna już zgasła. Ktoś zerwał mi jabłuszko z gałązki, a teraz orzech, cukierek...

Te dzieci zabierają mi wszystkie ładne rzeczy. A tu i świeczki gasną jedna po drugiej. Otóż masz! ogołocili mnie ze wszystkich strojów, poszli sobie i ciemno się zrobiło. Zostały mi już tylko moje własne igielki zielone. I otóż księżyc zagląda w okienko. Powiedz mi, księżycu, czy jutro znowu mnie tak ładnie ubiorą?

Księżyc nic nie odpowiedział, tylko bladym promyczkiem musnął sosenkę, która wkrótce usnęła. Dzień po dniu mijał, a nasze drzewko rosło zdrowo w dużym kuble, stojąc zawsze w pokoju przy drzwiach od ogrodu. Co rok na Boże Narodzenie ubierano ją prześlicznie w świeczki, w orzeszki złocone, aż w lat kilka sosenka podrosła znacznie i zaczęła mizernieć, bo jej korzonki nie mogły się pomieścić w kubelku. Ogrodnik to zrozumiał, wyjął drzewko i zasadził je na murawie przed domkiem.

Tu zaczęła wyrastać i sił nabierać, starając się naśladować we wszystkim dobrą swoją mateczkę.

A tymczasem sędziwa sosna mateczka zmartwiła się bardzo, gdy jej zabrano ulubioną córeczkę i zaczęła na zdrowiu zapadać. Straciła apetyt, igielki jej coraz więcej żółkły i opadały na ziemię, siły ją tak opuściły, że pewnej nocy, gdy się rozszalała burza, wicher wyrwał ją z korzeniem i obalił.

Przyszli cieśle, obcięli gałęzie starej sosny, włożyli ją na wóz i powieźli do wsi. Wszystkie sosny w borze opłakiwały zgon sędziwej swojej mateczki, po pniach i gałęziach spływały duże krople żywicy, łez sosnowych.

Stara sosna przewieziona była do tartaka, gdzie pień jej porznięto na piękne deski. Kupił je potem stolarz, pracowity rzemieślnik,



który przez cały dzień nie wypuszczał z rąk hebla i piły.

Narobił też z desek sosnowych mnóstwo różnych sprzętów, stolików, łóżek, szaf, skrzynek i t. d.

Taki był koniec sędziwej sosny.

---

## WESELE ZIĘBY.

---

Dre - lin - dzen! Dzen - dzen - dzen!

O! co za radość w lesie. Czy słyszycie, jak dźwięczą wesoło dzwoneczki majowej konwalii?

Dre - lin - dzen! Dzen - dzen - dzen!

Dawno już, dawno nie było takiego święta.

— Cóż to za szczęście! — świegocą ptaszęta w gniazdeczkach — dziś jest dzień uroczysty, wesele panny zięby!

— Panny zięby? — powtarza ze zdziwieniem młodziutka raszka.

— Jakto, czy nie słyszałaś o tem? — odzywa się starsza jej siostrzyczka. — Młoda



zięba, sąsiadka nasza, wychodzi za mąż za tego ptaka sierotę, co to go nasza babcia wychowała. Wyprawiają im przepyszne wesele; zgromadzenie będzie bardzo liczne, bo wszystkie ptaszki leśne sprzyjają sierocie, a i rodzice panny zięby są niezmiernie poważani. Stary to i zasłużony ród, powiadają, że już od lat dwudziestu dziadowie ich i pradziadowie gnieździli się na tym dębie.

— Ale tu z naszego krzaku nic nie będzie widać; jaka szkoda! — rzecze młoda raszka.

— A to chodźcie do nas — odzywa się młody gil, siedzący z braciszkiem i siostrami w gniazdku, zawieszonem wysoko, ponad gniazdkiem zięby — uczta weselna ma się odbywać na tym ogromnym pniu obalonym, który stąd widać doskonale. Tatko i mama zaproszeni są na wesele, a my zostajemy sami w gnieździe; ale będziemy widzieli wszystko i wybornie się ubawimy. Mówią,

że panna młoda otrzymała prześliczne podarunki od krewnych i przyjaciół, będzie miała w co przystroić swoje gniazdko.

— Doprawdy! a co to za podarunki? — pytały młode raszki.

— Mama nam wszystko opowiadała — mówił dalej gil. — Jeden szczególnie z tych weselnych darów powszechnie był podziwiany; jest to przepyszne pióro gęsie, miękkie, puszyste, a takie duże, że z pewnością przykryje całe dno gniazdeczka. Inne ptaki ofiarowały kłaczek wełny, piękny szmat pajęczyny i długi włos koński. Ale zgadnijcie, co ofiarowała pani Szczyglica.

— Co, co takiego? — pytały raszki,

— Zabawna rzecz! Pani Szczyglica przyniosła sześć twardych szczecinek i pęczek puchu białego, co to rośnie na ostach.

— Nic to dziwnego — rzecz mateczka młodych gilów, która w tej chwili przyleciała do gniazdko i usłyszała koniec rozmowy.



wy — szczyglica sama tym puchem zwykle wyściela gniazdko, więc wszystkich po sobie sądzi! Zresztą nic w tem niema złego i miękkie puszek przyda się ziębnie z pewnością. Oto macie jedzenie, ptaszyny, a teraz śpijcie, ja lecę dalej.

Ale zaledwie matka odleciała, gdy dziatwa znów gawędzić zaczęła w najlepsze.

— Czy wiecie — mówiła raszka — obaczmy dziś wilgę. Nigdy jeszcze nie widziałam tego ptaka, a jest podobno bardzo piękny, ma pióra żółte i czarne. Powiadają, że umyślnie wcześniej niż zwykle powrócił z Afryki, ażeby zdążyć na to wesele.

— A tak — odrzekł młody gil — bo on jest chrzestnym ojcem panny młodej. Ofiarował jej podobno duży pęk jakiegoś przepysznego mchu. Ale cicho, cicho, bo mama powraca.

Ogromne przygotowania do uczty weselnej rozpoczęły się już od samego rana. Ro-

dzina zięby zawarła była od dawna umowę z towarzystwem robaczków świętojańskich. Błyszczące owadki podjęły się urządzać iluminacyę na każde wesele, a zięby za to zobowiązały się nie zjadać nigdy robaczków świętojańskich.

Dnia dzisiejszego stara zięba, ciotka panny młodej, zajęła się urządzeniem uczty weselnej i wszystkimi przygotowaniem do tej wspaniałej uroczystości. Najpierw więc zamówiła sześć dużych pajaków, a te podług jej wskazówek przędły ogromne sieci i zawieszały je na krzakach i niższych gałęziach dokoła pnia obalonego, na którym uczta miała się odbywać wieczorem. Ciocia nie chciała nikomu powiedzieć, do czego ta pajęczyzna miała służyć.

— To będzie niespodzianka — mówiła ciekawym z miną tajemniczą.

Podczas, gdy pająki pracowały gorliwie,



ciocia zięba z pomocą trzech swoich krewniaczek zajęła się zastawą stołu.

Niełatwa to rzecz wybrać i wynaleźć stosowne potrawy dla każdego ptaka, a zaproszonych była spora gromadka z rozmaitych ptasich rodów. Dla mniejszych ptasząt znajdują się wszędzie ziarnka i drobne muszki, ale co tu robić z takim naprzykład dudkiem, ze sroką, lub wilgą? Czem je utraktować?

Już to prawda, że przezorny dudek sam o sobie pamiętał: około południa przyniósł w dzióbie i oddał cioci ziębie do schowania chrabąszcza, potem dużą szczypawkę i dwa piękne żuki czarne.

— Otóż to mój dar weselny — rzekł dudek — wieczorem spożyjemy te przysmaki w wesołym towarzystwie. Przytłukłem trochę łapką owady, żeby się nie ruszały, ale zawsze proszę ich pilnować, bo mogą umknąć.

Dar ten wspaniały złożony był na pniu drzewa, gdzie już stało parę najwykwintniej-

szych przysmaków, między innymi w miejscu przeznaczonem dla kosa kilka okazałych ślimaków, które bardzo smakowicie wyglądały.

— A teraz — mówiła ciocia zięba do swoich pomocnic — nalewajcie wody w te miseczki żołądziowe i ustawiajcie je rzędem, żeby każdy gość miał swoją, a ja biegnę po ziarnka i drobniejsze owady.

Pojmujecie, z jakim zachwyceniem nasze młode raszki i gile przypatrywały się tym przygotowaniom z wysokiego gniazda, gdzie sobie razem siedziały. Wykrzykniki radosne witały każdą nową potrawę, którą ustawiano na stole. Oto właśnie ciocia powraca, niesie lizkę, zbliża się do pnia obalonego i — zdobyć wypada jej z dzióbka.

Biedna ciocia! Jakież widok uderza jej oczy! Wszystkie duże owady, przyniesione przez dudka, zmykają w najlepsze, już są w trawie, a ślimaki, przygotowane dla kosa, po-



wystawiały łebki ze skorupki i także puszczają się tą samą drogą.

— Co ja tu pocznę! — wołała ciocia w rozpaczy — nie dam sobie rady z temi nieznośnemi stworzeniami.

Więc najpierw coperędzej dzióbnęła każdego ślimaka, a gdy już wszystkie jak niepyszne pochowały się w skorupki, rzuciła się na szczypawkę, chwyciła ją pazurami, a nie łatwa to była sprawa, bo silny owad wrywał się zawzięcie, dwie pomocnice łąpały tymczasem żuki i po chwili porządek był przywrócony.

— Co tu robić? — mówiła ciocia zięba — ja nie mam czasu pilnować tych owadów, a zabić ich nie potrafię, bo są za duże na mnie.

— Mybyśmy cioci pomogli — wołają jednogłośnie młode raszki i gile.

— A to dobrze — mówi ciocia — pocziwe z was dzieciaki, chodźcież prędzej, bo my zaraz musimy lecieć dalej.

Ptaszeta przylatują natychmiast, niezmiernie są uradowane, że i one przecież pomagają do przygotowań weselnych.

Wkrótce jednak tak się zmęczyły przy tej robocie, że wołałyby były siedzieć spokojnie w gniazdku. Aż je łapki bolały, tak trudno było utrzymać duże i silne owady, a za drobniejszemi liszkami, robaczkami ciągle musiały się uganiać nasze ptaszeczki, bo wszystko to rozbiegało się co chwila w trawkę.

Ach, ciociu ziębo! — woła mały gil przestraszony — chodź prędzej na ratunek — szczy pawka rzuciła się na chrabąszcza, ona go chyba zagryzie.

— Mniejsza o to, niech tam się gryzą, to przynajmniej nie uciekną — mówi ciocia.

Pocziwa ciocia uwijała się, jak mucha w ukropie; już z piątej czy szóstej wycieczki powracała, gdy spostrzegła, że malutka raszka sama jedna stała na straży przy dwóch ogromnych żukach.



— Coś ty im zrobiła, kochaneczko, że tak cichutko siedzą? — spytała ciocia.

— Oho! znalazłam na nie dobry sposób — rzekła raszka — poprzewracałam je do góry nóżkami; mogą teraz kręcić się i łapkami wywijać, ile im się podoba, ale z pewnością mi nie uciekną.

— To dopiero dowcip! — wołała ciocia i dodała ciszej sama do siebie: — Już to co prawda to prawda, tegoczesne dzieci rozumniejsze bywają od starych. Ta mała na przykład nie ma jeszcze sześciu tygodni, a takie to mądre; mnie samej nie przyszedłby podobny koncept do głowy. Żeby też żuki do góry nogami poprzewracać! No, już teraz przynajmniej mogę być spokojna, że nie uciekną.

## II.

Podczas, gdy ciocia zięba przygotowywała wszystko do uczytu weselnej, państwo

młodzi w gronie najznakomitszych gości udali się do pewnego ustronia leśnego, gdzie się ślub miał odbyć.

Wszystkie ptaszki, należące do orszaku, od samego rana zajęte były swoim strojem, każde piórko musiało być starannie wygładzone, ażeby pięknie błyszczało na słońcu.

Pan młody, ładny i żwawy samczyk zięba, przybył najwcześniej na miejsce umówione w towarzystwie swoich družbów i przyjaciół. Panie się troszkę opóźniły, wreszcie miły świegot zwiastował przybycie panny młodej, otoczonej licznym orszakiem. Wszyscy usadowili się na gałązkach. Uroczysta cisza panowała dokoła, tylko gdzieś pomiędzy liśćmi słychać było szmer zlatujących się ciekawych widzów i przygłuszone ich szepty.

— Patrzcież państwo, jaki to świetny los trafił się temu młodemu sierocie — mówiła gadatliwa sroka — ktoby się spodziewał, że



weźmie pannę z takiego domu. Ale cóż to znów panna młoda takie minki stroi? Te zięby niepospolite mają o sobie wyobrażenie; uważają się za coś lepszego od innych ptaków, a przecież tak samo liszkami się żywią, jak i my wszyscy. Prawda, że żadna z nich nie dotknie za nic w świecie kosmatej liszki. Czy to my kukułki? powiadają.

Przybycie kosa, który miał dopełnić obrzędu ślubu, przerwało te szeptki; wszyscy się uciszyli, a państwo młodzi usiedli przy sobie na zielonej gałązce. Kos obejrzał się na wszystkie strony, próbował głosu, potem usiadł naprzeciw państwa młodych i jednym tchem wygwizdał mowę następującą:

— Kochane dzieci! W tym dniu uroczystym zgromadziliśmy się tu wszyscy, aby okazać życzliwość naszą zasłużonej rodzinie zięb; pozwólcież tedy, aby stary i doświadczony kos udzielił wam rad swoich na przyszłość. Życie ptaków nie zawsze jest wolne

od przykrości i niebezpieczeństw, chociaż przyznać trzeba, że Bóg dobry obdarzył nas więcej od innych swoich stworzeń, dodając nam skrzydła. Pomyślcie tylko, mili słuchacze, jaki to smutny los być musi chodzić ciągle po ziemi, tak jak ludzie lub zwierzęta.

Tu mowca umilkł na chwilę, a wszystkie ptaszęta potrząsały główkami na znak potwierdzenia. Kos mówił dalej:

— Moje drogie zięby, jako kos, nie mogę wam dawać żadnych rad, dotyczących się urządzenia gniazdeczka, bo wiadomo powszechnie, iż zięby w wysokim stopniu posiadają sztukę budownictwa, a gniazdeczka ich nadzwyczaj są kunsztowne. Ja wam tylko zalecam gorąco, abyście bardzo troskliwie strzegły waszych jajek. Nieraz, gdy słońeczko przygrzeje, rodzice korzystają z tego, wylatują razem i jajka zostawiają bez opieki. Ale pamiętajcie, że kukułka na to tylko czyha; jak tylko spostrzeże takie opuszczone



gniazdko, zaraz tam wkłada swoje jajko. Wielka to jest próżniaczka, bo któż jej broni własne gniazdeczko urządzić?

Otóż trzeba wam wiedzieć, moje dzieci, że niema straszniejszego nieszczęścia dla rodziny ptasiej, jak jajko kukułki. Wychodzi z niego mały żarłok, który pochłania wszystko, co rodzice dla swoich piskląt przynoszą. Ten przybłęda jest duży, gruby, bardzo wiele miejsca potrzebuje, a gdy mu za ciasno, wyrzuca biedne pisklęta z gniazda i sam się w niem wygodnie rozsiada.

Takie to właśnie nieszczęście spotkało naszego dzisiejszego pana młodego. Rodzice jego wyhodowali w swoim gniazdku kukułkę, a ta rodzone ich dziecko wypchnęła z niego w czasie nieobecności rodziców. Zaczna raszka ulitowała się nad sierotą i wychowała go razem z własnymi dziećmi.

Skromna raszka spuściła oczy, słysząc tę pochwałę, a kos mówił dalej:

— Ta miłosierna opiekunka sieroty zasłużyła na uwielbienie całego ptasiego rodu i powinniśmy jej złożyć hołd publiczny, a nie tylko jej, lecz wszystkim raszkom, gdyż wiadomo, że ptaki te często spełniają takie dobroczynne uczynki.

Ptaki kiwały głowami, potakując, a kos po krótkim milczeniu mówił znowu:

— Nie dziwcie się, że tak wiele o tem mówię; nikt lepiej odemnie nie zna niecných sprawek kukułki, gdyż ja sam byłem ofiarą jej niegodziwości. Pamiętam doskonale obce piskłę, które się wychowało w naszym gnieździe. Było dwa razy większe odemnie, a jakie brzydkie! Moja mateczka była przekonana, że to jej syn rodzony i bardzo się niem pyszniła. Nieraz słyszałem, jak mówiła do ojca: Z tego pisklęcia wyrośnie znakomity kos, niepodobny do reszty naszej dziatwy.

W tem miała słuszność biedna matka:



ptak ten wcale nie był do nas podobny; żarłok zjadał wszystko, co rodzice przynieśli dla nas, a wkońcu obu nas z moim braciszkiem wyrzucił z gniazdka.

Gniazdka kosów są zwykle nisko budowane i możebyśmy byli potrafili podlecieć i powrócić do naszego mieszkania, ale w tej chwili przechodził tamtędy młody chłopak i podniósł nas obu z ziemi. Braciszek mój, który się skaleczył padając, zginął zaraz na zajutrz, a ja, dziś stary, poważny kos, powszechnie szanowany, nigdybyście nie odgadli, gdzie spędziłem młodość moją.

— W koszu od warzywa — gwizdnął w tej chwili młodziutki kos, siedzący na poblizkiej gałązce.

— Tak, syn mój prawdę powiedział — mówił stary — chociaż nie powinien był ojcu przerywać. Zamknęto mnie w próżnym koszu od warzywa. O matki! czuwajcie troskliwie nad pisklętami waszemi, aby ich nie

spotkał taki los straszliwy, aby nie były nigdy pozbawione swobody i zamknięte w starych koszach!

Kos nie mógł mówić dalej. Smutne to wspomnienie tak go wzruszyło, że mu głosu zabrakło; otarł łzę, która się stoczyła na jego dzióbek.

Słuchacze drżeli z przerażenia i spoglądali na wszystkie strony, jak gdyby się lękali, aby straszny kosz od warzywa nie ukazał się nagle przed ich oczyma, chociaż żadne z obecnych ptasząt, oprócz starego kosa, nie wiedziało nawet, jak taki kosz wygląda.

Ochłonawszy nieco ze wzruszenia, kos tak opowiadał dalej dzieje swego życia:

— Nie mogę się skarżyć na chłopaka, który mnie zabrał do siebie! Jeżeli mi nie kupił porządnej, wygodnej klatki, to tylko dlatego, że nie miał na to pieniędzy. Karmił mię jak mógł najlepiej; pierwszego dnia dał mi trochę chleba rozmoczonego w mleku,



ale mi to jedzenie nie służyło i zachorowałem. Wtenczas starszy jakiś człowiek poradził chłopcu, żeby mi dawał mięso i było mi z tem znacznie lepiej. Czasem przynosił mi parę robaczków, ale rzadko kiedy. Ach! cóżbym dał był za to, żeby choć raz pokosztować tych wybornych owadków, które mi mateczka przynosiła! Przetrwałem jakoś to wszystko, musiałem być silnej bardzo budowy, ale i teraz choruję na żołądek, a ile razy przełknę parę większych owadów, łapki ich stają mi w gardle i o mało mnie nie udławia.

Tymczasem długa przemowa kosa znudziła łrochę towarzystwo; pliszka zaczęła poziewać, sąsiad jej dudek także roztwierał dziób raz po raz i wkrótce poziewanie udzieliło się wszystkim ptakom.

— Znudzili się — pomyślał — a jednak opowiadałem im takie ciekawe rzeczy i ty-lebym miał jeszcze do opowiedzenia.

Kos nie rozumiał, że nigdy nie trzeba za dużo mówić o sobie.

W tej samej chwili, gdy nastąpiło to chwilowe milczenie, dzióbek, który zapewne był bez śniadania, zaczął bić dzióbem w drzewo, szukając w niem owadów. Całe zgromadzenie spojrzało na niego ze zdziwieniem, bo też to było postępowanie bardzo niewłaściwe w tak uroczystej chwili.

— Trzeba już kończyć — pomyślał kos, a głośno powiedział:

— Szanowni słuchacze przepraszam was, że tak długo mówiłem o sobie, czem was trochę znudziłem. A teraz życzę państwu młodym wszelkich pomyślności i wszystkim wesołej zabawy.

Zeskoczył ze swojej gałązki i zbliżył się do młodej pary.

Młodziutki kos, syn jego, przyleciał wówczas, niosąc w dzióbku kwiateczek konwalii, rosą napełniony. Stary kos wziął ten



śliczny dzbanuszek i podał go państwu młodemu, mówiąc:

Bądźcie złączeni!  
Niech nic nie zmieni  
Waszej wierności,  
I w pomyślności,  
I w troskach życia,  
Tylko cnotliwi  
Będą szczęśliwi.

Kos sam skomponował te piękne wiersze i wygwizdał je z takim uczuciem, że wszystkie samiczki były niezmiernie wzruszone; niektóre nawet łzy ocierały ukradkiem.

Państwo młodzi umoczyli dzióbki w ślicznym białym dzbanuszkę i wypili po kropelce rosy. Taki jest obrzęd zaślubin ptaszków. Wszyscy otoczyli młodą parę, winszowali jej i życzyli pomyślności. Kilka ptaków zbliżyło się do młodego kosa, podziwiając jego powagę i uroczystą minę.

— Niezadługo i on potrafi tak pięknie przemawiać, jak ojciec — rzekła pliszka.

— Oho! jeszcze jest za młody — odezwał się szczygieł — poczekajmy ze trzy lata, aż dorośnie i będzie miał żółty dziób, tak jak ojciec.

Wesołe towarzystwo odleciało gromadnie do sąsiedniego gaju, gdzie stryj panny młodej czekał wszystkich ze śniadaniem.

### III.

Wspaniała uczta weselna miała się odbyć wieczorem. O zachodzie słońca wszystkie przygotowania były ukończone, a gdy zmierzch zapadł, ciocia zięba pofrunęła w krzaki i po chwili powróciła, trzymając w dzióbku robaczka świętojańskiego. Położyła go na siatce pajęczej, rozciągniętej na gałęziach, przyniosła tym sposobem ośm innych robaczków i ułożyła z nich przepyszną gwiazdę.



— O! co za śliczności! — wołały małe gile i raszki.

Ciocia odlatywała raz po raz w krzaki i ułożyła aż ośm gwiazd podobnych dokoła pnia, na którym uczta odbyć się miała. Potem ustawiła szereg błyszczących robaczków wzdłuż pnia, żeby gościom było widno.

Dwie zięby, pomocnice cioci, odleciały trochę, żeby zobaczyć, jak wygląda iluminacja z daleka i wykrzyknęły z podziwu. Widok był czarujący.

— Nigdy w życiu nic podobnie pięknego nie widziałam! — mówiła jedna.

— Długo będą rozpowiadać o tem weselu w lesie! — dodała druga.

Nakoniec wszystko już było gotowe, czekano tylko na gości.

— A teraz, moje dzieci — mówiła ciocia zięba do piskląt — dziękuję wam bardzo za pomoc. Wracajcie do gniazdek, bo już

późno. Przyjdźcie jutro rano, schowam dla was trochę przysmaków z wieczerzy.

— Dziękuję cioci — wołał mały gil, który jednak nie bardzo się spuszczał na to, co nazajutrz zostanie, ale zawczasu pozjadał drobniejsze owadki, przy których stał na straży.

— Dziękujemy, dziękujemy — mówiły dwie małe raszki, a jedna schwyciła zgrabnie malutkiego robaczka świętojańskiego i prędziutko z nim odleciała. Swawolnica chciała sobie zrobić małą iluminację w gniazdeczku.

A wtem wśród ciszy wieczornej dał się słyszeć szum skrzydeł i nadleciała gromadka weselnych gości. Toż dopiero rozpoczęły się wykrzykniki, uniesienia radości i zachwyty bez końca. Ciocia zięba rosła jak na drożdżach, tak ją wszyscy wychwalali i podziwiali jej dowcip i gust wytworny.

— Przepyszny! wspaniały widok! — mówił szpak. — Ja dużo świata zwiedziłem, co



rok bywam w Egipcie, ale nigdzie nie widziałem tak pięknej iluminacji. Prawdziwie powinszować pani potrzeba tak wybornego pomysłu.

Ciocia prosiła gości, by jak najspieszniej zasiadali do stołu, bo w ciągłej była obawie, ażeby owady się nie porozbiegały.

Chciano dzięcioła posadzić na pierwszym miejscu, na samym końcu pnia, ale się tłómaczył, że ma ogon za sztywny i nie może usiąść na płaskim miejscu, więc usadowił się na poblizkiej gałęzce. Zwrócono się więc do dudka, ale ten swoim zwyczajem zaczął się kłaniać na wszystkie strony.

— Proszę już zostawić te ceremonie — mówiła ciocia zniecierpliwiona — i zabrać się do jedzenia, bo i tak mieliśmy tu dosyć kłopotu z tymi dużymi owadami.

Dudkowi nie podobała się ta mowa, więc czubek spuścił na grzbiet, co było oznaką niezadowolenia. Nie zważano je-

dnak na to i ucztą rozpoczęła się bardzo wesoło.

— Wyborna jest sobie ta ciocia zięba — mówił dudek do szpaka, swego sąsiada — zamiast mi podziękować, że sam nałapałem zwierzyny, żebym nie był głodny, ona mię jeszcze rozumu będzie uczyła.

Mówiąc to, uderzył łapką chrabąszcza tak silnie, że mu aż skrzydła odleciały, potem podrzucił go zgrabnie w górę i złapał dzióbem w powietrzu. Wszystkie ptaki podziwiała zręczność dudka. Żaden nie potrafiłby takiej sztuki dokazać.

A on, chcąc się popisać przed towarzystwem, coraz wyżej podrzucał owady; wtem, na nieszczęście, tak nieostrożnie cisnął w górę dużego żuka, że ten spadł na główkę małej pokrzywki, która się przelekła i zemdlą.

— Wody, wody! — wołał jej mąż. Któryś ptak chwycił miseczkę żółodziową z wodą,





wylał na pokrzywkę, a ta po chwili przyszła do siebie.

— Bardzo przepraszam — rzekł dudek zakłopotany — ale przypadek każdemu trafić się może. — Potem dodał sam do siebie: — Niepotrzebnie przybyłem na tę ucztę. Z tym długim moim dzióbem, to kłopot prawdziwy: nie mogę jeść tak, jak wszyscy, a to rzecz nieprzyjemna w towarzystwie.

To zdarzenie wszystkim jakoś humor popsuło. Dopiero szpak rozweselił całe zgromadzenie, udając głosy różnych ptaków. Naśladował wybornie srokę, kuropatkę, kurę domową, nakoniec wykrzyknął na całe gardło:

— Łobuz! łobuz!

Wykrzyknik ten wymierzony był przeciw młodemu ptaszкови, który siedział na gałązce ponad głową szpaka i rzucił na niego parę okruszyn kory. Śmiech powstał powszechny, a pliszka zapytała:

— Ale skądżeś się pan nauczył mowy ludzkiej?

— O, to długa historia — odpowiedział szpak — kos spędził młodość w koszu od warzywa a ja żyłem przez dwa lata w klatce zawieszanej nad drzwiami sklepu pewnego szewca. Szewc ten miał zwyczaj wołać tak na swoich chłopaków i na małych uliczników, którzy mu dokuczali. Stąd nauczyłem się wymawiać ten wyraz i powtarzałem go raz po raz. Koło sklepu przechodził często jakiś jegomość, a słysząc wołanie: »łobuz!« strasznie się gniewał i pięścią mi groził. To mnie tak bawiło, że ile razy go spostrzegłem, zaraz krzychałem, jak tylko mogłem najgłośniej: łobuz! łobuz!

Dnia pewnego szewca nie było w domu, a jegomość ów tak się rozzłościł, że przyskoczył do mojej klatki, otworzył drzwiczki i chciał mnie zapewne udusić.

Ale nim zdołał mnie pochwycić niezgrabną



swoją łapą, ja się wymknąłem z klatki i usiadłszy na poblizkiej latarni, zawołałem na całe gardło: łobuz! łobuz! i pofrunąłem dalej. Tym sposobem odzyskałem swobodę.

— Czemu pan tak mało je? — rzekła sikorka do dzięcioła, który naprzeciw niej siedział.

— Nie smakują mi te mrówki — odpowiedział dzięcioł — bo wszystkie prawie nieżywe, niektóre nawet bez głów. Lubię tylko świeże owady, a takich jeść nie mogę.

— Ja tu mam świeżuteńkie, żywe muszki — mówiła uprzejmie sikorka — a sama już dosyć jadłam. Proszę sobie wybrać, co się podoba.

— O, bardzo dziękuję — rzekł dzięcioł i wyciągnął długi język, aż się sikorka nastroszyła i cofnęła w tył.

— Co za język! — krzyknęła — nigdy w życiu nic podobnego nie widziałam... Prawda, że nie miałam bliskich stosunków z dzięciołami.

— Mrówki jednak nie boją się wcale mego języka — mówił dzięcioł, śmiejąc się. — Gdy go wyciągnę ponad mrowiskiem, same przybiegają i włożą na niego, bo mój język jest lepki, a im się to podoba. Ja czekam cichuteńko i gdy już mnie porządnie obśiądą, paf! wciągam język i połykam wszystkie mrówki; takie jest przytem przyjemne lechtanie po gardle! O! ja to bardzo lubię.

— Ale biedne mrówki nie bardzo to muszą lubić — mówiła sikorka. — A toż prawdziwa niespodzianka dla nich.

— Ja ich przecież nie zmuszam i nie namawiam — rzekł dzięcioł — same włożą dobrowolnie. Któż im winien? Ech, wierzaj mi, pani, mrówki są na to umyślnie stworzone, żeby je dzięcioły pożerały. Mój długi język widocznie przeznaczony jest do tego, aby je przywabiał.

— Zawsze to okrucieństwo taki podstęp — mówiła sikorka.



— Jaka to pani litościwa! — rzekł żartobliwie dzięcioł — sama jednak nie żałujesz sobie wcale muszek i owadów rozmaitych. Słyszałem, że nieraz pani zjadasz po sześćdziesiąt sztuk na dzień.

— I nigdy nie choruję na niestrawność — odrzekła śmiejąc się sikorka.

— Ale czemu to pani tak późno na ucztę przybyła? — mówił znów dzięcioł. — Nie widziałem pani ani na ślubie, ani na śniadaniu.

— Gdzieżbym ja czas na to miała! — rzekła sikorka — nie mogę odstąpić gospodarstwa i dziatwy. A toż dziesięcioro drobiazgu ciągle na mnie woła w gniazdeczku z rozdziawionymi dzióbkami. Trzebaż to wszystko nakarmić. Co to ja muszę liszek nałapać przez cały dzień! Ten wieśniak, co ma sad niedaleko naszego lasu, powinien mi być wdzięczny; jeżeli mu w tym roku pięknie obrodzą owoce, to mnie się w znacznej

części będzie należało. Gdybym była nie wyłapała wcześniej z wiosny robactwa, co się tam w owocowych drzewach gnieździło, byłoby mu pożarło wszystkie pączki liści i kwiatów.

— Ba! on tego nawet nie rozumie — odezwała się pliszka — bo gdyby umiał cenić to, co my dla niego robimy, nie pozwalaby dzieciom rabować naszych gniazd i piskląt z nich wybierać.

Wczoraj naprzykład, przelatując obok niskiego krzaka, usłyszałam żalosne wołanie: »O, moje dzieci, moje biedne dzieci! Cóż się z wami stanie! Zginiecie z głodu u tych drapieżników!«

Zatrzymałam się i ujrzałam w głębi krzaka parę pokrzewek, siedzących w próżnym gniazdku. Serce mi się krajało, gdym patrzyła na nie.

— Niegodziwy chłopak zabrał nam pisklęta — rzekł ojciec.



— Takie były prześliczne — dodała matka — już umiały wołać mamę i tatę.

— To straszna rzecz! — zawołała sikorka i zadrżała od stóp do głowy. — Bywajcie zdrowi, moi państwo, muszę lecieć do mojej ukochanej dziatwy. Chociaż mój mąż tam został w gniazdeczku i dobrze ich pilnuje w mojej nieobecności, niespokojna jestem, czy im się co nie stało.

— Dziewczątka nie są nigdy takie okrutne, jak chłopcy — rzekł młody trznadel. — Ja także w dzieciństwie miałem okropny wypadek, wypadłem z gniazdka. Mała dziewczynka mnie podniosła, a nie mogąc odszukać moich rodziców, zabrała mnie do swego domu i opiekowała się mną tak troskliwie, jak prawdziwa matczka. Nikomu nie pozwoliła mnie dotykać, sama mi zawsze jeść dawała, a gdy który z braciszków jej zbliżał się do mnie, musiał rączki trzymać w tyle. Nawet mnie w klatce nie zamykała.

Latałem sobie swobodnie po pokoju, ze wszystkimi się spoufaliłem, w czasie obiadu skakałem po stole jadalnym, piłem czasem ze szklanki ojca mojej małej pani, a wiadomo, że u ludzi ojcowie zawsze są poważni i surowo wyglądają. Spałem w łóżeczku lalki.

— Co to jest takiego lalka? — zapytała pliszka.

— Ja sam dobrze nie wiem, co to takiego — mówił trznadel — jakieś malutkie dzieciątko, co się nie rusza i nie mówi. Dziewczynki się tem bawią.

— To chyba nieżywe jakieś dziecko? — mówiła młodziutka pliszka. — Jakże to można bawić się nieżywym dzieckiem?

— Nie rozumiesz tego — rzekła starsza pliszka — nie trzeba nigdy rozprawać o tem, czego się nie rozumie.

Trznadel opowiadał dalej:

— Żywiono mnie w tym domu i pielęgn-



nowano, póki nie podrosłem, potem mnie wypuszczono na swobodę.

— Cóż to za poczciwi ludzie! — zawołał kos. — A czy ich nigdy odtąd nie widziałeś?

I owszem — rzekł trznadel! — Gdyśmy się z moją małą panią żegnali, spostrzegłem, że miała łezki w oczkach.

— Bądź zdrow, kochaneczku — powiedziała do mnie — żal mi ciebie bardzo, ale wiem, że ptaszęta lubią swobodę, a ja ciebie kocham i chcę, żebyś był szczęśliwy.

Byłem wzruszony, a jednak pofrunąłem z wielką radością, bo nieraz już tęskniłem za światem Bożym, choć mi i tam było dobrze.

Zapoznałem się zaraz z różnymi ptakami w gaju i bawiłem się wybornie przez cały dzień. Ale wieczorem, gdy mię sen morzyć zaczął, przypomniałem sobie tę dobrą dziewczynkę, moją małą panią i wygodne łóżeczko

Więc nie wiele myśląc, pofrunąłem prosto do tego domu i przez okno otwarte wpadłem do pokoju. O, cóż to była za radość! jak mnie serdecznie witano. Kochana dziewczynka skakała, śmiała się i klaskała w rączki. Nazajutrz odleciałem znowu po śniadaniu, na noc powróciłem i dotąd co wieczór powracam do mojej pani. Bardzo mi z tem dobrze i wygodnie.

— Już jabym nie miała odwagi zbliżyć się dobrowolnie do ludzi — rzekła pliszka, potrząsając ogonkiem.

— A jednak nie taka to pani jesteś nieśmiała — odezwał się kos — sam wczoraj widziałem, jak usiadłaś na rogach krowie.

— O! to wcale co innego — rzekła pliszka — krowa nie ma najmniejszej ochoty mię łąpać, ona bardzo rada, że ja wybieram jej z sierści owady, i pastuch za to mnie lubi, a mogę sobie każdej chwili odlecieć.



IV.

Tymczasem na drugim końcu stołu toczyła się ożywiona rozmowa pomiędzy ptakami.

— Nie rozumiem — mówił kos — dlaczego ja jestem cały czarny, a szczygieł tak ładnie pstrokato zabarwiony?

— Jakto, nie wiesz tego? — odrzekł szczygieł — a toż jest o tem dawne podanie, opowiadała mi je babunia moja, która dużo świata widziała i słyszała je gdzieś zagranicą.

— A to musi być ciekawa rzecz! — wołały wszystkie ptaki.

— Nie wiem ja z pewnością, czy to prawda — mówił szczygieł — ale powtórzę wam, co opowiadała babunia.

Gdy Pan Bóg stworzył ptaszki, ulepił je z gliny i wszystkie były szare, jak glina.

Wtenczas Pan Bóg zawołał małego aniołka i rozkazał mu, ażeby ptaki pomalował.

Aniołek poustawiał je wszystkie na dużym stole, przyniósł kilkanaście miseczek z różnemi farbami i tyleż małych pendzelków.

Najpierw pomalował czarną farbą kosa, białą gołąbka, żółtą kanarka i tak malował aniołek wszystkie ptaki jednokolorowe. Potem obejrzał je i pomyślał, że ładniej będzie dawać po dwa kolory, więc pomalował srokę, wilgę, zielonego dzięcioła i raszkę.

»A teraz spróbujemy trzech kolorów«, pomyślał aniołek i ujrawszy ptaka o długim dzióbku, pomalował go na orzechowo, z czarnemi i białemi ozdobami.

— To był mój pra-pra-dziadek! — zawołał dudek.

Aniołek nie bardzo był jednak zadowolony ze swej roboty, chciał spróbować jas-



krawych kolorów, więc wziął się do innego ptaszka; pomalował mu brzusek i podgardle przepyszną barwą czerwoną, czapeczkę czarną i porobił łatki czarne na skrzydełkach i na ogonku.

— To gil! gil! — wołały ptaszki chórem.

— No, ten mi się udał — rzekł aniołek. — Ślicznie wyglądasz, mój ptaszku i winienbyś być z siebie zadowolony.

— Byłbym zadowolony — odpowiedział gil — gdybym tylko...

— Czegóż chcesz jeszcze? — przerwał aniołek.

— Nic nie chcę — rzekł gil — tylko dziób mam taki gruby i niezgrabny.

— Sam nie wiesz, co mówisz — powiedział aniołek — przekonasz się, jedząc twarde ziarna i owady o rogowych pokrywach, że taki dziób jest wyborny do rozgnięcia tych pokarmów.

Gdy już ptaszki były pomalowane, aniołek klasnął w rączki i wszystkie rozleciały się w różne strony świata. Chciał pochować farby i pendzelki, gdy spostrzegł na stole pomiędzy miseczkami małego szarego ptaszka.

— Ach! zapomniałem o tobie — zawołał.

— A tak — rzekł ptaszek nieśmiało.

— Co tu robić? — powiedział aniołek — wszystkie farby mi wyszły, będziesz już chyba taki szary.

— Ależ ja niezbyt jestem duży — mówił ptaszek — może tu zostało choć troszeczkę farb w miseczkach. Dla mnie jednego tak niewiele potrzeba!

— No, no, spróbujemy — rzekł mały malarz; nabrał na pendzelek odrobinę brunatnej farby, która na dnie miseczki została i pomalował grzbiecik ptaszka; na brzuszek zabrakło tej farby, ale znalazło się troszkę białej w drugiej miseczce. Potem aniołek



wziął resztkę farby czarnej i pomalował ptaszkowi końce skrzydeł, ogona i zrobił mu czarną łatkę na główce.

— A czy niema tam choć troszeczkę czerwonej farby? — zapytał ptaszek, bo wszystkie te kolory wydawały mu się trochę smutne.

— Nie, czerwonej już zabrakło — rzekł aniołek.

— Jaka szkoda! — westchnął ptaszek; zaczął szukać pomiędzy miseczkami i wnet wykrzyknął: — O! tu na stole jest kropelka, będzie przynajmniej łatka czerwona koło dzióbka. A co! zaraz ładniej wyglądam. Żebyż jeszcze choć odrobinka żółtej farby! Oho! znalazłem, znalazłem!

I naprawdę troszeczkę żółtej farby pociekło było z miseczki na stół i ptaszeczek sam sobie nią posmarował skrzydełka.

— Figlarzu mały — rzekł aniołek — będziesz ty ładniejszy od tamtych wszystkich.

Poczekaj, mam jeszcze troszkę białej farby, porobię ci centki w różnych miejscach. No, teraz prześlicznie wyglądasz, leć-że sobie w świat.

— A co ja będę jadł? — pytał ptaszek.

— Poczekaj — rzekł aniołek — ja ci pokażę roślinkę, którą wszyscy pogardzą i nazwą ją chwastem; ona jednak ma smaczne i zdrowe ziarenka, a ty je będziesz zjadał — i aniołek wskazał ptaszкови krzaczek ostu.

— Otóż to był właśnie mój pradziadek — dokończył szczygieł — ja także jadam ziarenka ostu, to moja ulubiona potrawa.

— A to śliczna bajeczka! — mówiły wszystkie ptaszki.

Jeden tylko szpak nie bardzo uważnie słuchał opowiadania szczygła; z nadzwyczajnem zajęciem przypatrywał się iluminacyi, a chociaż ucztą była bardzo obfita i nie brakło mu najwyszukańszych przysmaków,



jego ciągle korciło, żeby pokosztować choć jednego robaczka świętojańskiego. Ponieważ nikt się do nich nie brał, więc nie śmiał zaczynać pierwszy, ale miał nadzieję, że je na deser podadzą. Tymczasem skończył się i deser, a świętojańskich robaczków nie podawano.

Goście zaczęli się zabawiać, to śpiewem, to deklamacją. Szczygiełek zakończył właśnie prześliczną piosenkę i wszyscy mu dziękowali. Nasz szpak nie mógł się powstrzymać i korzystając z zamieszania, sądząc, że nikt go nie spostrzeże, chwycił jednego błyszczącego robaczka i prędko go połknął. Nikt rzeczywiście z weselnej drużyny tego nie spostrzegł, ale po chwili najwspanialsza gwiazda, zawieszona na pajęczej siatce, nagle zagasta.

Stara ciocia zięba zaraz to zobaczyła i poprunęła dowiedzieć się, co się to dzieje. Wszystkie robaczki były już w trawie i uciekały co żywo, niezmiernie oburzone.

— Jakto — rzekł najstarszy — my wam urządzamy taką świetną iluminację, a wy pozwalacie gościom nas pożerać, jak najzwyczajniejsze owady!

Ciocia była w rozpacz. Nie wiedziała, co począć. Domyśliła się, że to sprawka szpaka, ale nie śmiała mu robić wyrzutów. Żeby jednak naprawić rzeczy o ile możności, szepnęła słówko panu młodemu, a ten dał znak towarzystwu, że ma coś ważnego do powiedzenia. Gdy wszyscy się uciszyli, on tak mówił:

— Szanowni goście! Dzień dzisiejszy jest najpiękniejszym dniem mego życia. Nie wiem, czy wszyscy tak myślą, jak ja; gdy jestem wesół i szczęśliwy, chciałbym zaraz spełnić jakiś dobry uczynek, żeby i inni radowali się razem ze mną.

Otóż, goście moi mili, uczynimy wszyscy dobry uczynek. Gromadka robaczków świętojańskich przyczyniła się niemało do uświet-



nienia mojego wesela. Wiem, że niektóre ptaki, bez żadnego względu dla tych miłych owadów, chrupią je w najlepsze. Ale ja was dziś proszę za nimi; na pamiątkę mojego wesela darujcie im życie, nie pożerajcie ich nigdy. Piję zdrowie robaczków świętojańskich.

— Zdrowie robaczków świętojańskich! — powtórzyły chórem wszystkie ptaki! — Niech żyją, niech błyszczą!

W tej chwili wszystkie robaczki zająśniały żywym światłem. Widocznie pogasły były ze strachu, żeby ich wszystkich nie pożarto.

Po załatwieniu tej sprawy, znowu całe towarzystwo bawiło się bardzo wesoło. Śpiewy i tańce trwały do późna w noc.

Gil, odśpiewawszy swoją zwyczajną piosnkę, zanucił polkę, którą słyszał kiedyś w mieście. Wszystkie ptaszki w takt podskakiwały, a stara ciocia zięba nie gorzej od młodszych wywijiała.

A wtem nagle ustały tańce, ucichli wszyscy i zaczęli nasłuchiwać. Głos dźwięczny i czysty rozległ się po lesie. Któż nie zna śpiewu słowika? On nie był na weselu, bo słowik nie lubi gwarnych zabaw, ale życzliwy jest bardzo dla rodziny zięb i chciał wyśpiewać piękną serenadę na cześć państwa młodych.

Cudne tony płyną wśród ciszy nocnej, ptaszęta zachwycone rozlatują się po lesie, szukają dogodniejszego miejsca, ażeby lepiej słyszeć, każde sadowi się na gałęzi i ukołysane prześlicznym śpiewem, jedno po drugich usypiają spokojnie.

Ciocia zięba darmo wygląda powrotu gości, wkońcu sama chowa główkę pod skrzydełko i usypia.

Tak się zakończyło wesele, ale długo jeszcze rozpowiadano sobie po lesie o wspańskiej uczcie i przepysznej iluminacyi.

Młoda para zabrała się dnia następnego



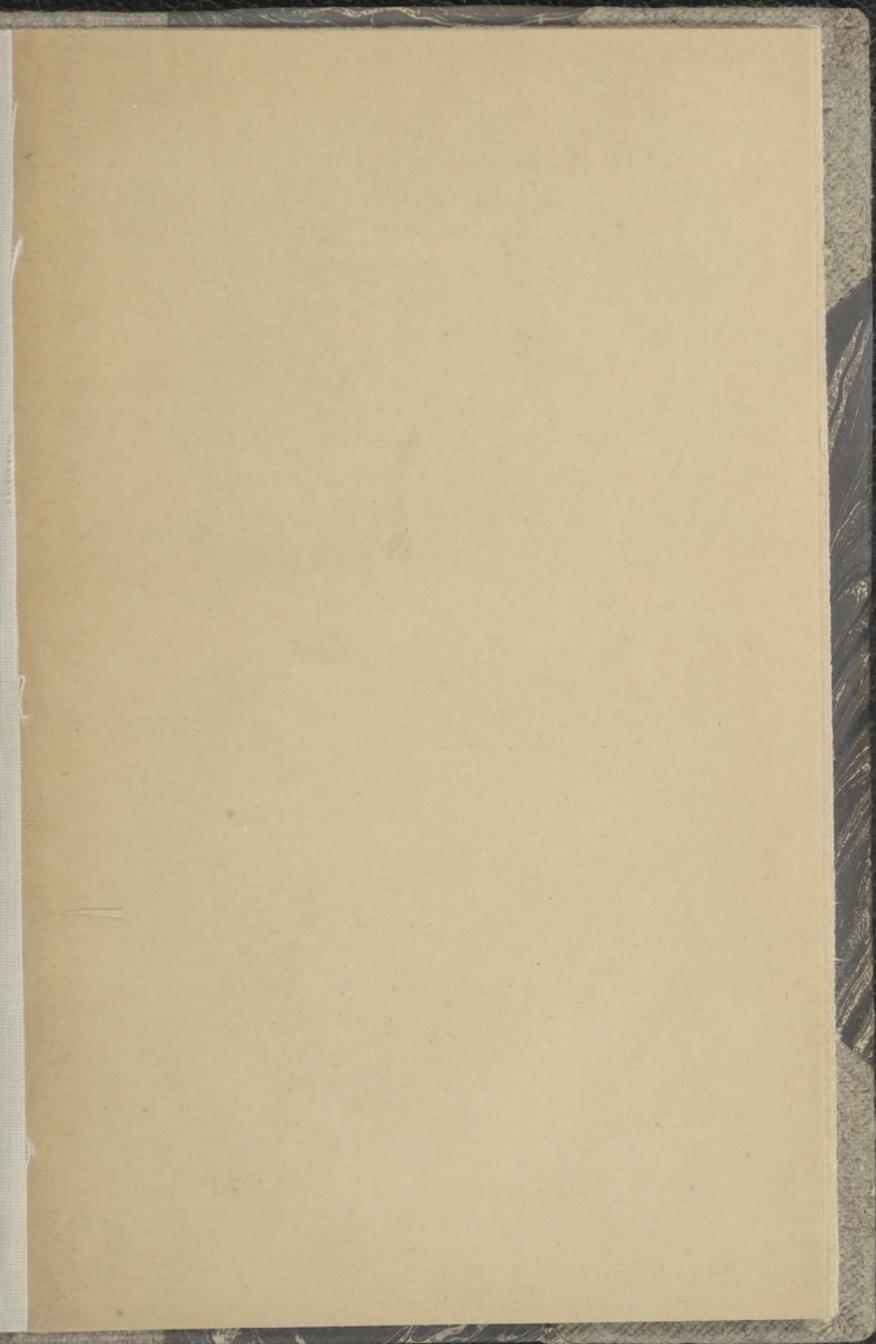
do budowania ładnego i wygodnego gniazdeczka; wkrótce znalazły się w niem jajka i oboje rodzice, pomni na przestrogi kosa, troskliwie je pielęgnowali, żeby czasem kukulka nie spletała im niepocziwego figla

KONIEC.



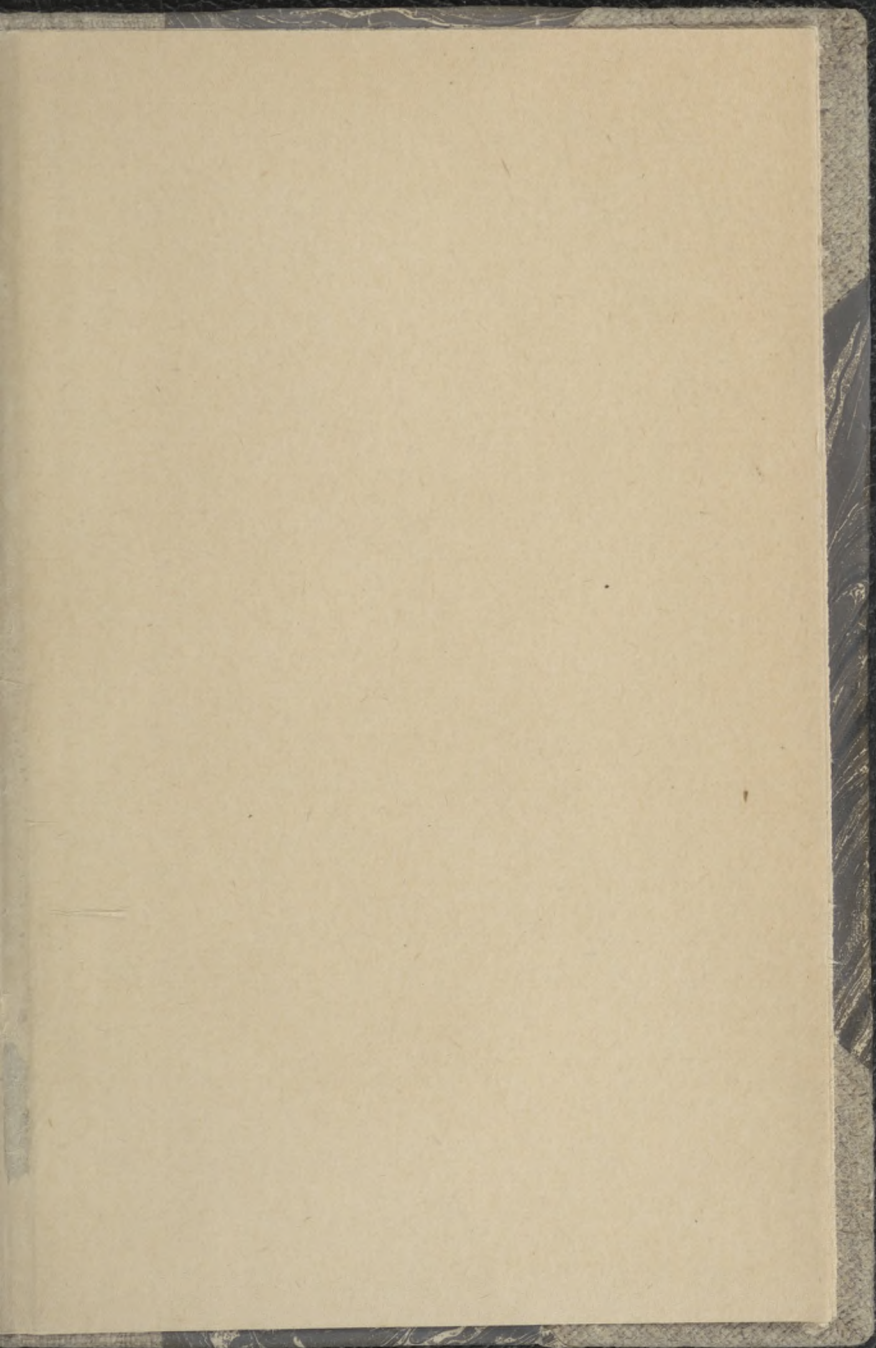
Dar  
J. Komorowskiego  
K-wo  
28. 06. 90r.

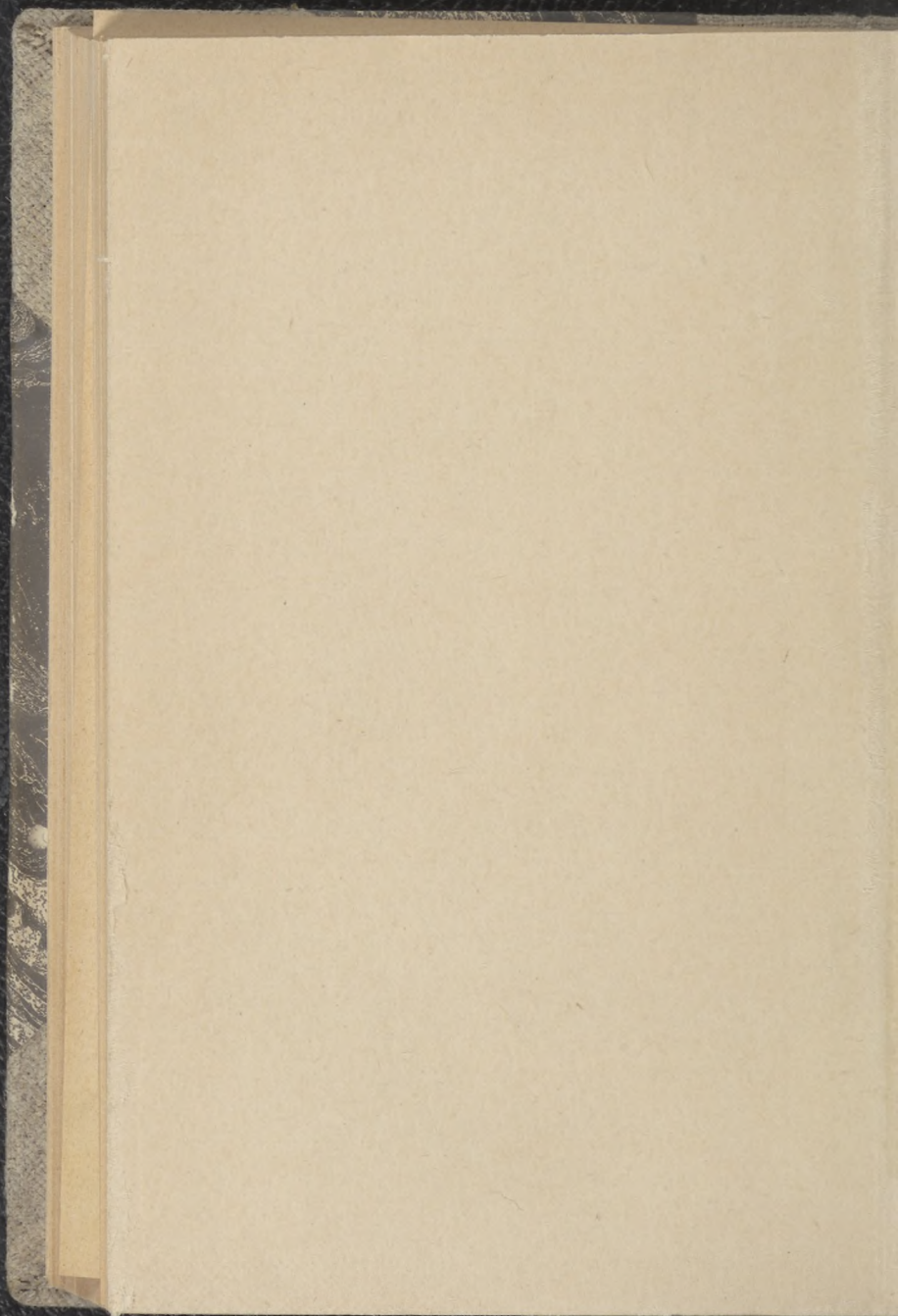














Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001021680708



1467711

---

---

